Nr. 48. Lwów, Niedziela dnia 28. Listopada 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Wydawca i redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XLVIII.

PENSJONATY ŻEŃSKIE.

V. Zestawiliśmy kilka uwag w sprawie pensjonatów, w sprawie, jak sądzimy arcyważnej, bo od niej inteligencja połowy narodu zależy, a teraz dążymy do wniosków, jakie się z poprzednich uwag wysnuwają. Według tego wychowaniu domowemu, kształceniu córek pod okiem rodziców, pierwszeństwo dać należy. Rodzice oddaleni od ognisk naukowych, od miast większych, najwłaściwsze znaleźliby umieszczenie dla córek, w domach znanych sobie lub pokrewnych — a dopiero gdyby się takie ulokowanie dziecka niemożebnem okazało, zostaje droga do pensjonatów świeckich, nigdy zaś klasztornych.

Wszystko cośmy mówili, odnosi się przeważnie do strony pensjonatów pedagogicznej, więc kończąc uwagi nasze, dorzucamy słówko o stronie ich dydaktycznej. W tej mierze nie trzeba się zbyt głęboko zastanawiać, aby poznać, że nauczanie w pensjonatach zakonnych, żadną miarą nie może odpowiadać wymogom nawet najskromniejszym. Obok tego, że system sam przez się paraliżuje naukę, — brak sił nauczycielskich po klasztorach sprowadza ją do absurdum.

Czyż można przypuszczać, aby się w obrębie murów klasztornych rozwijały dostatnie siły nauczycielskie, gdy reguła zakonna nie dopuszcza zetknięcia ze światem, z ruchem naukowym, z żywem słowem wykładów naukowych, gdy odejmuje wszelką sposobność zaznajomienia się z postępem wiedzy, gdy trzymając nauczycielkę na uwięzi ślubami zakonnemi, odbiera jej możność stykania się z innemi nauczycielkami, a przez to pozbawia ją poważnej dyskusji naukowej, przez którą zdania się ucierają, prostują, wyrabiają poglądy.

Nauka nie może w człowieku zatrzeć natury indywidualizmu. Zakonnica w murach klasztornych zamknięta, wyrwana z naturalnej kolei życia, musi z czasem wyrobić w sobie spaczenie pojęć, dziwaczność, popada w chorobliwe zaskorupienie się w tysiąc przesądów i pojęć antycywilizacyjnych. Takim chorobliwym, wykolejonym będąc człowiekiem, będzie szkodliwą nauczycielką, bo naukę nastraja do miary swego poziomu intelektualnego, a ten jak widzimy, styka się z poziomem mętów i dziwactw umysłowych.

Zresztą powtarzamy jeszcze, cośmy już poprzednio napomknęli, że szkoła w pensjonacie zakonnym żadnej nie daje rękojmji, bo się z pod kontroli władzy szkolnej najzupełniej usuwa. W tej mierze podobną jest najzupełniej do chajderów żydowskich, które potwornością swoją przynoszą hańbę XIX stuleciu.

Dziwna rzecz, iż naród nasz mając w klęskach swoich, w rozdarciu swem, najlepszy dowód, do czego wiedzie oświata z ręki zakonnej podawana, że przez półtora wieku upadając coraz niżej w ciemnicy jezuickiej, dziś tak lekkomyślnie patrzy na zalew ciemnoty, znajdujący swe źródło w klasztornej edukacji.

Po klęskach 1863 r. po cierpieniach strasznych apatja ogarnęła umysły, otrętwiła myśl zdrową — złamała wiarę w siły i nadzieje, okaleczyła naród moralnie. Jak człowiek po chorobie nie mogąc o własnej stąpać sile, szuka na czemby mógł oprzeć swe dłonie — tak naród nasz po ostatnich klęskach oglądał się za oparciem.

Jezuityzm w różnych swoich kształtach, w różnorodnej postaci podpełznął pod dłoń schorzałą, i pragnie rozróść się w punkt stały oparcia dla narodu. Klasztory wydalone z pod rządu moskiewskiego, jako prześladowania ofiary, zyskały przyjęcie i poparcie w naszym kraju i współczucie chrześcijańskie. Dano im swobodę działania i zaczęły też najpierw ochronki zakładać, szkółki tworzyć, kapliczki budować — osiedlać się w różnych stronach kraju. W ślad zatem poczęła się rozwijać publicystyka jezuicka, pożyczająca sobie języka od wyuzdanych uliczników, maczająca pióro w kałuży nawet.... szpiegostwa prywatnego. Równocześnie z tem powstawać zaczęły pensjonaty zakonne, jak Jazłowiecki i Jarosławski.

Tym sposobem rozpoczął się na zdrową oświatę narodu, ogólny atak, na całej linji sformowany — i on to ośmielił do rzucania się na święte uczucia narodu — do fałszu i ohydy — do pamfletu Walewskiego.

Zanim powstanie nowy Klemens XIV naród nasz może popaść w recydywę upadku intelektualnego, w jakim chromał w 17 i 18 wieku. Usuwać dziatwę od tych wpływów, chronić następną generację przed tym systemem ogłupiania, powinno być zadaniem rodziców.

Szczęśliwi będziemy, jeżeli słowa nasze zwrócą na siebie uwagę Czytelników *Tygodnia* — a daj Boże, aby nie były dla niejednych spóźnionemi...

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach
przez
J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.
(Ciąg dalszy).

XVI.

Rotmistrz jął się krzątać przy staroświeckiem biórku, sławnem z tajemnych kryjówek, któremi było przepełnione. Wkładał jakieś papiery, wiele z nich popalił, a w końcu osobnym wyszedłszy wychodem, przywołał do siebie starego Jana, dawnego totumfackiego i służącego z lat jeszcze młodzieńczych, mieszkającego na gracji w folwarku, którego to miał zastępować niepoczciwy przed tygodniem odprawiony Piotr. Z siwym jak gołąb Janem długo rozmawiał, i jemu równie jak i staremu podstarościemu Lemieszyńskiemu, który już także przeszło lat trzydzieści służył w Zaskalu — dawał rozmaite dyspozycje. Oba razem ze starym rotmistrzem krzątali się długo jeszcze w alkowie sypialnej, a gdy z niej wyszli cicho i poważnie, stary Jan dziwnie jakoś kiwał głową do starego Lemieszyńskiego, który też jeszcze jakoś dziwnie odkiwnął do Jana swą dobrze szpakowatą już głową, a nawet tyle był za-

kłopotany, że co mu się od pamięci ludzkiej nie zdarzyło jeszcze, więcej nie pogłaskał szwarcowanych wąsów, podobniuteńkich do dwóch olbrzymich wiszorów, prochem armatnim poczernionych.

Wkrótce po nich wyszedł rotmistrz z alkowy; uśmiech na jego twarzy niezwykle był łagodny. Resztę czasu wolnego przepędził przechadzając się po salce.

Już było ku wieczorowi, gdy pierwsi zajechali przed dwór kapucyni. Z nimi czas jakiś rozmawiał w alkowie. Wkrótce za nimi przyjechali: marszałek, który na ten raz przywdział nawet czamarkę — z panem Arturem, który się lepiej jeszcze ustroił, bo w kontusz na wyloty. Ojciec i syn mieli podwójną garderobę, zmienianą wedle okoliczności. Nieraz w czamarce lub kontuszu z rana, występowali wieczorem we frakach. W naszej Galilei posiadaliśmy oddawna takich dwustrojowych obywateli; znaliśmy i ich stroje, i ich uczucia jak złe szelągi. A i teraz po krótkiej patrjotycznej maskaradzie, mamy znowu niemałą porcję ludzi rozsądnych, którzy mają czapki rogate, żupany i pasy w głębi kufrów, a po ulicach paradują we frakach i rozmaitych tużurkach z głowami przykrytemi niesłychanemi cylindrami, gdyby kominy! — istne kominy, z których się jeno próżny i bezpożyteczny dym dobywa. Wszakże mamy nawet młodzieńców (młodzieńców!!!) którzy się śmieją głośno ze swej gorączki kontuszowej, i dla menażu, polskie suknie donaszają tylko, gdy ich nikt nie widzi.

Marszałek i jego godny syn przywdziali te stroje celem przypodobania się rotmistrzowi. Ich patrjotyzm powierzchowny, był istnym Judaszowym workiem, wiecznie gotowym na grosz zdrady.

Tuż za karetą angielską pana marszałka wtoczył się drabiniasty wóz, z którego wyskoczył ubrany jak zwykle pan Bartłomiej, z miną drwiącą na twarzy, wywołaną widokiem marszałkowskiej karety. I nie mógł wytrzymać by uie mruknąć sobie pod nosem:

— Czy tak, czy siak, trzeba być możnym błaznem, żeby się dobrowolnie zamykać do takiej skrzyni.

Ostatni przyszedł pan Stanisław, idąc z miasteczka krokiem niepewnym i wahającym.

Stary siwy Jan w własnej osobie robił honory w przedpokoju. A był w pełnej paradzie, bo do kurty czamarowym krojem i nieco z żołnierska zrobionej, dodał rajtuzy mające także powierzchowność wcale militarną. Oba te stroje chował stary jako świętą relikwię z czasów jeszcze gdy za ostatniej wojaczki uganiał w nich na koniu za panem rotmistrzem. By prawdę wyznać, jak kurta tak i rajtuzy, choć dobrze jeszcze zachowane, w najzabawniejszej były sprzeczności z całą teraźniejszą postawą starca. Niegdyś obcisłe, gdy Jan był tęgim mężczyzną, dziś wisiały na schudłym staruszku. Mimo to był widocznie zadowolony sam z siebie; nawet razy kilka poglądał ku zwierciadłu, by się lepiej sobie przypatrzyć. A gdy wchodzącym gościom drzwi otwierał, tak surowo, poważnie i bundziucznie spozierał, że niepodobna było drwić z poczciwego staruszka.

Pan Bartłomiej Zahajpolski tylko, wielki ulubieniec starego Jana, miał niejakie przywileje. To też gdy wszedł i ujrzał Jana w kurcie, zaśmiał się na głos, i uścisnąwszy starego wygę po dawnym zwyczaju, mimo że tym razem Jan unikał tego zanadto poufałego uścisku z uszanowaniem przed gościem pańskim — rzekł do niego:

— Czy tak czy siak tęgo mi wyglądasz w tej kurcie wojskowej; chodź, niech ci się stary przypatrzę!

I jął staruszka obracać na wszystkie strony.

— A co, nie prawda? — odpowiedział stary w najlepszej wierze i obracał się jak najchętniej.

— Poczciwy Janie, Janeczku! czy siak, czy tak chodź, niech cię raz jeszcze ucałuję — rzekł pan Bartłomiej z widocznem rozczuleniem.

— Ale bo, ale bo — mówił stary drożąc się i na wszystkie strony odwracając twarz. — Widzi jegomość to jakoś dzisiaj i tu... nie przystoi.

— Głupiś Jasiu, Jasieczku, nie przymawiając. Czy siak, czy tak, ja cię stary mój poczciwcze codzień i wszędzie ucałuję, i wolę przecie twój pysk poczciwy, niżeli twarze tych wszystkich marszałków i kamerjunkrów.

Jan stary uśmiechnął się i i uściskali się obaj serdecznie.

Rotmistrz witał swych gości uprzejmie, lecz dla Bartłomieja miał także uścisk ręki cieplejszy.

Gdy już wszyscy byli zebrani, rotmistrz otworzył drzwi do przedpokoju i powiedział Janowi:

— Janie, poproś tu Kostusię i szambelanowę.

Wkrótce też weszły obie. Szambelanowa jako ogród, ukwiecona i woniejąca, ukwiecona na pstrej sukni, i na jeszcze więcej pstrej głowie.

Konstancja wedle życzenia dziadka zrzuciła czarną suknię. Miała na sobie skromną sukienkę białą, czarną wstążką przepasaną. Była więcej blada jak zwyczajnie; ale na twarzy był spokój i silne postanowienie.

XVII.

Rotmistrz na widok ukochanej wnuczki, po raz pierwszy tego dnia okazał wzruszenie silniejsze, które w tej chwili uwydatniło na twarzy jego sędziwej, widome dopiero teraz zmęczenie, i walkę wewnętrzna. Mimo całej energji, której staruszek tak wiele posiadał, zdało się że nagle postarzał. Widocznie walczył sam z sobą, by to wzruszenie powstrzymać, i zachować ten poważny spokój, którym się zawsze odznaczał. Podnosił się pomału z miejsca swego, jakby chciał czasu zyskać; wreszcie powstał, i zbierając wszystkie siły swoje, przemówił głosem, w którym do wnuczki przywiązanie tylko serce domyślało się raczej, niżeli ucho dosłyszało drżenia niejakiego:

— W ważnej chwili prosiłem panów bliższych mnie czy sercem czy powinowactwem. Chwila to nagła.

— Nagła? — ozwali się wszyscy półgłosem.

Najgłośniej zawołali marszałek i kamerjunkier, którym widocznie szło o to, aby jak najmocniej uwydatnić współczucie swoje. To też marszałek przybliżył się do rotmistrza, a pan kamerjunkier do Konstancji, i nie umiejąc się na nic zdobyć, jął jej szeptać komunały grzecznych komplementów.

Konstancja zmierzyła go tylko spojrzeniem zimnem i pogardliwem.

— Tak jest, nagła — mówił dalej rotmistrz — idzie bowiem o ustalenie losu mojej Kostuni.

— Dziadziu! — zawołała Kostusia przyskakując do niego i porwawszy go za rękę, cisnęła ją do ust drżących; łza nawet gorąca spadła na zimną staruszka rękę

Staruszek pocałował wnuczkę w głowę, i łagodnie odsunął ją od siebie.

— Nie przeszkadzaj mi dziecię; znam twoje przywiązanie; możesz być spokojna — szepnął jej do ucha, i dalej mówił głosem coraz spokojniejszym i donośniejszym:

— Czas nagli, proszę zatem wszystkich by mi nie przerywali. Niech się wam zdaje, że jesteście przy odczytaniu mego testamentu.

Konstancja pobladła, a Stanisław oparł się o krzesło, ledwie mogąc powstrzymac ból wewnętrzny. Uroczyste przemówienie rotmistrza przekonywało go najmocniej, że domysły jego były prawdziwe.

— Wiecie już — ciągnął rotmistrz dalej — że zdrada sługi mego oddała w ręce sprawnika dokument kompromitujący mnie najmocniej wobec rządu moskiewskiego. Cieszę się przynajmniej, że ten dokument kompromituje mnie tylko jednego, i zastrzegam sobie wyraźnie, proszę, a w razie potrzeby nakazuję tym, którzy chcą poszanować moją prośbę i rozkaz. tym, którzy mnie kochają, aby w chęci pomożenia mi lub ratowania, sami siebie nie kompromitowali.

— Twoja prośba kochany rotmistrzu — zagadł marszałek.

— Będzie nam świętą — dokończył syn jego.

— A żeby was, czy tak czy siak!...

Nie mógł się Bartłomiej wstrzymać, by nie wymruknął tych słów dokończonych szyderczym uśmiechem.

— Prosiłem, by mi nie przerywać, i panie i dobrodzieju, nie do panów Szóstackich obracałem słowa moje, ale do pana Stanisława, który także jak widzę, ma wielką ochotę ozwania się... ale proszę go o cierpliwość także. Owóż sprawnik opierając się na tym dokumencie, śmiał się oświadczyć o rękę mojej wnuczki.

Tu wydało się kamerjunkrowi rzeczą przyzwoitą przybrać postawę wielce heroiczną, i pokusił się porwać rękę kuzynki, by okazać gotowość swą do walecznej obrony. Lecz i tym razem w spojrzeniu zimnem i dumnem jedyną znalazł odpowiedź.

— Wnuczka moja odmówiła mu oczywiście z całą pogardą, na jaką zasłużył... Znając charakter podły sprawnika, pewien jestem, ze skorzysta ze sposobności by się pomścić na mnie, i tym sposobem właśnie ogałacając Kostusię z obrony, jaką jabym jej dać mógł, przyjść do zamierzonego celu. Znam ja, panie i dobrodzieju, mego całego Pawła Onufryjewicza, wiem co mnie czeka, i dlatego...

— Pan rotmistrz daruje, ale ja muszę przerwać — przemówił w tej chwili Stanisław, trafiony właśnie spojrzeniem Konstancji pytającem, a jeszcze więcej pełnem wymówki.

Rotmistrz zatrzymał się i spojrzał na mówiącego.

— Po powrocie pana rotmistrza nie miałem jeszcze czasu donieść — mówił Stanisław — że Mortko stosownie do danego mu przez rotmistrza polecenia, poczynił stosowne kroki, aby okupić milczenie sprawnika. I w rzeczy samej jest nadzieja zupełna, że choć to będzie grubo kosztowało, sprawnik sprzeda wykradziony dokument. Lada chwila spodziewam się, że sam Mortko przybędzie i doniesie o szczęśliwym rezultacie. Z tego powodu pan rotmistrz może się jeszcze zechce powstrzymać, panowie Szóstaccy poczekają, i oświadczenia szanownego pana rotmistrza...

Przerwał, bo go zbiło z terminu spojrzenie rotmistrza; spojrzenie pełne serdecznej łagodności, ale zarazem badawcze. Patrzał tak na niego staruszek chwilę; uśmiech niezrozumiany przemknął mu przez usta. Lecz wnet kiwnął ręką, jakby odpychał przedstawioną mu nadzieję i mówił dalej:

— Prosiłem cię mój Stasiu o negocjację ze sprawnikiem przez Mortka, aby zyskać czas tylko. By się to na co zdało, nie wierzyłem nigdy, i powtarzam wam, że znam ja najlepiej prawdziwie podłą, prawdziwie mongolską duszę sprawnika. Szkoda nawet wierzcie mi, każdej chwili, którą tu tracimy na próżne słowa. Nie przerywajcie, bo ja to czuję — dodał uderzając się w piersi, że niebezpieczeństwo bliższe niżeli myślicie!... wierzcie starcowi.

Słowa te wymówione z dziwną uroczystością, zrobiły ogromne wrażenie. Obecni wszyscy zadrżeli; nawet panom Szóstackim coś się tam poruszyło koło tego miejsca, gdzie u ludzi bywa serce — niekoniecznie z uczucia, ale może raczej z zaostrzonej ciekawości.

— Dosłuchajcież jak mówiłem testamentu, który wam chory odczyta, a jeżeli umierający wyzdrowieje, tem lepiej dla niego, a przeczytany testament nic mu przecie nie zaszkodzi. Dlatego też, chciałem na każdy wypadek ustalić los Kostuni, i tak nim zakierować, aby w każdym razie była zupełnie wolną i zabezpieczoną od obrzydłych konkurów tego łotra. I dlatego zaprosiłem tu panów wszystkich na świadków.

Lecz jak się zdaje było przeznaczonem, by nie tak łatwo mógł stary rotmistrz doprowadzić do końca przemowę swoją, i by nie tak prędko zaspokojoną została gorąca marszałka i kamerjunkra ciekawość, a młodych kochanków skończył się tłoczący ich piersi niepokój. Nowy wypadek przerwał przemowę rotmistrza. Nagły jakiś ozwał się ruch w przedpokoju, i przez drzwi obcesem otwarte wpadł stary Jan dziwnie zapeszony, zastawiając drzwi sobą, jakby komu bronił wejścia.

— Co to? — zawołał rotmistrz dosyć surowo.

— Proszę pana rotmistrza — odpowiedział stary wiarus, próbując wojskowej postawy, co mu po prawdzie niebardzo się dobrze udawało, i komicznością swą mimowoli wszystkich do śmiechu pobudzało, — proszę pana rotmistrza to żyd!

— Jaki żyd?

— Niech mnie djabli wezmą żyd, dalibóg żyd, chce się wepchać do towarzystwa, powiada że on musi wejść, a ja mu na to odpowiedziałem, że żyd nie należy do takiej zacnej kompanji, a on mi na to...

— A przestań że stary nudziarzu, i puszczaj go, kiedy ma interes.

— Ale proszę pana rotmistrza, to żyd, dalibóg że żyd, choć się śmiał ubrać psia wiara w czamarkę.

— To wnuk Mortka! — zawołał Stanisław.

I ledwie usiłowaniom jego, i rozkazom rotmistrza udało się usunąć Jana z posterunku, i wpuścić znanego już nam Józefa, młodego wnuka Mortkowego. Wchodząc ukłonił się pomięszany nieco, i jeszcze mocniej się zarumienił, gdy ujrzał patrzące na niego z uwagą i pewnem współczuciem oczy śliczne Konstancji.

— Mój dziadek — zaczął półgłosem zwrócony do Stanisława — wracając z miasteczka powiatowego, wywrócił się i potłukł się, dla tego nie mogąc sam przyjechać przysłał mnie.

— Witam cię panie Józefie — przemówił rotmistrz do nowego i niespodziewanego gościa, na którego widok salonowi panowie Szóstaccy zaczęli mocno nosami kręcić. — Rozumiem co cię przyprowadza, możesz mówić głośno.

Mimo to Józef z większem jeszcze uszanowniem skłoniwszy głowę przed sędziwym rotmistrzem, przystąpił do niego bliżej i sprawozdanie swe składał głosem pół cichym, jakby mu właśnie szło o to, by nie doszło wszystkich uszu. Sprawozdanie było krótkie i wcale niewesołe. Cały plan Mortka tak dobrze zakierowany, rozbił się o upor sprawnika, któremu siostra jego rodzona nie mogła się dosyć nadziwić. Odmówił wszystkich ofiar pieniężnych, nazwał siostrę rodzoną głupią gęsią, Iwana Iwanowicza buntowszczykiem, i zawyrokował w końcu, że ręka panny Konstancji na każdy wypadek musi być jego.

Mówiąc to młody Józef, jakby zmieniony cały strzelał piorunnemi spojrzeniami zwykle łagodnych oczu swoich.

— Dziadek mój — dodał w końcu, ale głosem jeszcze cichszym, by go tylko rotmistrz i Stanisław dosłyszeć mogli — kazał ze swej strony powiedzieć, jak dowiedział się z pewnością, o czem nawet sprawnik przed siostrą nie mówił, że w czasie swych przejażdżek po powiecie nikomu nic nie powiedziawszy, dojeżdżał już do miasta gubernskiego.

— Rozumiem — odrzekł rotmistrz po cichu.

I wyraz jego twarzy nie zmienił się zupełnie, gdy mówił dalej zwrócony do wszystkich głosem zupełnie spokojnym:

— Moje przewidzenia nie były mylne, i rad jestem, ze wszystko przygotowałem do...

W tej chwili przerwał sam sobie, widząc Józefa jak się cicho i skromnie wysuwał z pokoju.

— Panie Józefie, zostań, nie jesteś tu zanadto; jesteś moim gościem, i rad jestem, że i ty będziesz świadkiem jednym więcej. Wszak — dodał to stary rotmistrz z serdecznym przyciskiem — jesteś nam panie Józefie bratem.

Łzy cisnęły się do oczu poczciwego młodego żyda, a jego rozczulenie wzmogło się jeszcze więcej, gdy w tejże semej chwili przystąpiła do niego Konstancja, którą dziwnie zajął wyraz wyższości serca i umysłu, bijący tak promiennie z oczu i z czoła Józefa, i z przyjaźną otwartością podała mu swoją śliczną rączkę. Czyliż mógł być śliczniejszym i doskonalszym anioł, o jakim kiedykolwiek marzył młody syn Izraela!

— Bratem! — przemówił wreszcie głosem, który drżał od wzruszenia, — bratem krwią, którą szczęśliwy przeleję za sprawę naszej drogiej wspólnej ojczyzny!

Na te słowa marszałek i kamerjunkier ramionami tylko ukradkiem ruszyli, ale zato Bartłomiej i Stanisław zbliżyli się z uczuciem prawdziwem do młodego izraelity; Kapucyni nawet przyjaźnie ku niemu skłonili głowy.

— Przygotowałem wszystko — kończył rotmistrz swe słowa przerwane — do ślubu Konstancji, na który was panowie zaprosiłem.

Wielkie słowo było już wypowiedziane; łatwo zrozumieć, jak wielkie i rozmaite na obecnych zrobiło wrażenie. Stanisławowi wydało się ostatnim, bolesnym ale spodziewanym wyrokiem, Konstancja zadrżała, ale spojrzawszy na starca oczy, spoczywające na niej tak serdecznie, czuła mimowolnie, jak się od niej odsuwa wszelkie przerażenie. Była w dziwnem położeniu; powinna była, chciała może nawet, a jednak nie mogła być przestraszoną. (C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy.)

Bezpieczeństwo publiczne.

Rządy papieskie nie bardzo się tem martwiły, że mieszkańcy Bolonji nie byli bezpieczni ani na ulicy, ani we własnym domu. Policja udawała wprawdzie, że szuka malfattorów, ale jakoś nie mogła ich znaleść; ztąd zakorzeniło się w umysłach podejrzenie, że i ona była z nimi w zmowie. W ciągu dwudziestu lat zdarzyło się jednak kilka razy, że między naczelnikami policji znaleźli się i tacy, którzy bądź co bądź chcieli uwolnić miasto od plagi, gorszej jak każda z egipskich. Nagłej tej energji jakie były następstwa? Oto malfattory widząc grożące im niebezpieczeństwo, wynosili się z Bolonji; przez cały jednak czas ich niebytności dochodziły wiadomości o rozbojach w innych miastach półwyspu, a nawet w Corfu i Stambule. Że zaś złoczyńcy bolońscy mieli własny system, według którego dokonywali napadów — nikt więc nie wątpił, że wykurzeni jak lisy z nory, uganiali się teraz po za murami ojczystego miasta. Gdy policja usnęła

na pierwszych laurach, panicze wracali cichaczem do domu, i znowu powtarzały się dawne sceny.

Przerażający ten stan trwał aż do roku, w którym rząd Wiktora Emanuela objął Bolonję i przyłączył ją do Piemontu.

Policja sardyńska inaczej wzięła się do dzieła. Miasto zostało lepiej oświetlone, na wszystkich ulicach były w nocy wzmocnione posterunki i patrole, w „czarnej księdze" notowano nazwiska osób podejrzanych, a w dodatku robiono częste rewizje po miejscach publicznych i domach nie używających najlepszej sławy. Wprawdzie wszystkie te zabiegi nie doprowadziły odrazu do rezultatu pożądanego, ponieważ policji nie powiodło się złapać ani jednego złoczyńcy na gorącym uczynku, ale zawsze rzuciły one popłoch w szeregi sprzysiężonych i rozboje wydarzały się już bardzo rzadko.

W pierwszych tych miesiącach, dwaj komisarze policji, wyszczególniający się gorliwością i energją, idąc wieczorem razem przez Corso, zostali zastrzeleni równocześnie. Dwa strzały padły z ciemnej uliczki poprzecznej, a na ziemi legły dwie ofiary obowiązku. Kiedy to się działo w śródmieściu, na dworcu kolei żelaznej pojawił się silny oddział królewskiej żandarmerji, na którego czele znajdował się komisarz policji. Karabinierzy obsadzili wszystkie wejścia, a komisarz legitymujący się legalnem rozporządzeniem prefekta, zażądał od naczelnika stacji, by mu niezwłocznie oddał całą kasę. Naczelnik nie mogąc zrozumieć takiego rozkazu, protestował wprawdzie przeciw gwałtowi, którego rząd dopuszczał się na własności prywatnej, ale w końcu musiał rad nierad oddać całą kasę, gdyż w obec siły prawo nie raz milczy. W kasie było 256.000 franków.

Zaledwie komisarz zabrawszy pieniądze oddalił się z karabinierami, przyszła na kolej wiadomość o wypadku w mieście. Naczelnik, złowrogiem miotany przeczuciem, wsiadł do dorożki i pojechał na prefekturę. W pół godziny wszystko się wyjaśniło. Karabinierzy i komisarz byli przebranymi malfattorami. W mieście urządzili oni skrytobójczy zamach w dwojakim celu: aby pozbyć się największych swoich wrogów i zatrudnić policję. W chwili gdy jedni strzelali na Corso, drudzy złupili kasę kolejową.

Gdyby fakt opowiedziany nie wydarzył się był na kilka miesięcy przed moim przyjazdem do Bolonji, i gdybym wszystkich szczegółów nie miał ze źródła najlepszego, bo rządowego, dziś sam bym w to nie uwierzył, tak on jest zuchwałym.

Szatańska ta sztuczka była jednak ostatnią.

Na wiosnę r. 1864 do bankiera Pardini w Genui, o godzinie 2giej z południa, gdy wyszli wszyscy urzędnicy, wpadło sześciu ludzi nieznajomych, zresztą przedstawiających się wcale przyzwoicie, którzy zastawszy samego tylko bankiera i dwóch służących, powiązali wszystkim ręce i nogi, pozatykali usta, a ułożywszy ich pod stołem, zielonem suknem nakrytym, zabrali całą gotówkę z kasy, wynoszącą w tym dniu przeszło półtora miljona.

Popełniona zbrodnia wykryła się dopiero o godzinie 3ej, gdy pierwszy urzędnik przyszedł do biura. Niedługo trwało, a wpadła policja. Wypadek chciał, że komisarz który pierwszy się zjawił był rodem z Romanji. Przytomny nad wszelkie spodziewanie, zwrócił swoją uwagę na sznury, któremi ofiary były powiązane. Obznajomiony z przemysłem swojej prowincji poznał natychmiast, że sznury tego gatunku wyrabiają tylko w Bolonji. Wiedząc już z kim ma do czynienia, zatelegrafował do kwestury bolońskiej, aby mu niezwłocznie przysłała spis osób podejrzanych, których tam teraz brakuje, w raz z ich rysopisem. Nie czekając na odpowiedź, która mogła nadejść dopiero za kilka godzin, rozesłał swoich ajentów po mieście, a sam pojechał do portu. Tu wypytując się usłyszał, że jacyś panowie nieznajomi najęli przed dwiema godzinami prywatny jacht, i popłynęli w kierunku Livorna. Nad wieczorem przyszła depesza z Bolonji, a w niej kilkanaście nazwisk i rysopisów. Niektóre z nich zgadzały się najzupełniej z rysopisem podanym przez bankiera i marynarzy, którzy w porcie widzieli nieznajomych podróżników. Odtąd nie ulegało wątpliwości, że złoczyńcy należeli do szajki malfattorów bolońskich, i po dokonanej zbrodni wracali do domu.

Na rozkaz prefekta przygotowano korwetę wojenną, na którą wsiadł komisarz z odpowiednią asystencją. Noc była pogodna, księżycowa. Jacht pędząc całą siłą pary mknął nadzwyczaj szybko, to też dopiero nad ranem ujrzano go z najwyższego masztu korwety. W godzinę korweta zbliżywszy się na odległość strzału działowego, zaczęła go wzywać sygnałami, aby się zatrzymał. Malfattorzy domyślając się o co rzecz idzie, chcieli jeszcze ratować się ucieczką, ale przekonawszy się w krótce, że wszelkie usiłowania będą daremne, rzucili pieniądze w wodę, które fala bezpowrotnie pochłonęła, sami zaś poddali się nacierającym. Chociaż komisarz nie znalazł przy nich nic podejrzanego, zabrał ich jednak z sobą do Livorna, a z tamtąd pod silną eskortą odstawił do Bolonji.

Po nitce dochodzi się do kłębka. Z sześciu pojmanych złoczyńców zrobiło się w krótce 104. Była to cała banda malfattorów bolońskich, którą w sali sądowej własnemi oglądałem oczyma.

W chwili gdy to piszę, patrzę na nich wszystkich. Odfotografowano ich tak, jak siedzieli przy rozprawie ostatecznej, i krocie tych fotografij miniaturowych rozeszło się po całych Włoszech; zachowałem jednę nie wiedząc, że mi się kiedyś przyda. Wszystkie twarze brutalne, dzikie, prawdziwie zbójeckie. W pięknem tem towarzystwie znajduje się także jedna kobieta, Mazzoni Maria Między nazwiskami wydrukowanemi na odwrotnej stronie fotografji, odczytują takie: jak Aldrovandi, Casanowa, Ceneri, Lambertini, i wiele innych, które we Włoszech nie należą do pospolitych... Powiększej części jednak byli to właściciele hotelów, kawiarze i tym podobni, a więc jako tacy bywali najlepiej pouczani o materjalnych zasobach każdego obywatela.

Ostateczna rozprawa toczyła się nie w gmachu sądowym, który nie miał sali odpowiedniej, ale w pałacu Farnezjuszów, w którym mieści się prefektura. W pierwszej sali na piętrze, tak wielkiej, że wygodnie może pomieścić do 1000 osób, zrobiono w prawym jej rogu olbrzymią klatkę z prętów żelaznych, przytykającą do ściany, w której znajdowały się drzwiczki. Przez nie wchodzili obżałowani, i zasiadali na ławkach, ustawionych amfiteatralnie w sześciu rzędach. Dzięki wysokości sali, ostatni rząd nie sięgał pod sufit. Frontem do klatki, stał w szeregu oddział karabinierów z bronią nabitą, liczący 24 chłopów jak dęby, którzy bacznem okiem śledzili każde poruszenie malfattorów. Ostrożność taka była niezbędną, gdyż stu czterech złoczyńców zdeterminowanych na wszystko, mogło bez trudności połamać najgrubsze kraty i dostać się na wolność. Na placu przed pałacem, na podwórzu, a nawet na wschodach wiodących do sali rozpraw, stali liczni bersalierzy z bronią także nabitą. I ten środek był koniecznym, zważywszy, że obżałowani mieli w mieście kilka tysięcy krewnych, przyjaciół i lepszych znajomych, którzy w razie nieostrożności ze strony sądu, byliby z pewnością usiłowali uwolnić panów malfattorów.

Proces trwał sześć miesięcy; tłumy ciekawej publiki ciągnęły codzień do pałacu Farnezjuszów. Nie mogę przy tej sposobności nie wynurzyć przekonania, że poważne stroje sędziów i rzeczników, używane na Zachodzie i we Włoszech, są bardzo pożyteczne. Te długie togi, te berety, jakkolwiek oddawna wyszły z mody, mają tę dobrą stronę, że osoba w nie ustrojona, przejmuje pewną grozą tak obżałowanego, jak świadków, a nawet publiczność. Ci ludzie to prawdziwi sędziowie i prawdziwi adwokaci, a nie zwyczajni śmiertelnicy. Takie ten strój robi wrażenie.

Po sześciu miesiącach skończył się proces. Wszyscy poszli na galery. Odtąd w Bolonji panuje spokój i porządek wzorowy.

* * *

Czy słyszeliście kiedy o republice San Marino?

Nieopodal Rimini, na wyżynie zwanej Monte Titano, leży miasteczko mające kilkadziesiąt domów, siedm kościołów, dwa klasztory i tysiąc mieszkańców, które w połączeniu z wioskami, tulącemi się do stóp góry, tworzy najmniejszą republikę w Europie, zwaną San Marino. Cały obszar tego państwa zajmuje zaledwie 1 milę kwadratową, a wszystkich mieszkańców nie ma nigdy więcej jak 7050.

Podanie niesie, że w III wieku po Chrystusie, osiedlił się tu bogobojny żołnierz, Marinus, któremu właściciele darowali tę wyżynę. Po niejakim czasie do Marinusa przybyło kilku nowych pielgrzymów, którzy razem utworzyli kolonję niepodległą. Mimo burz politycznych, samodzielność tego zakątka utrzymała się do dnia dzisiejszego, bo nawet papieże, jak Klemens XII, Benedykt XIV i Pius VII potwierdzali nietykalność granic republiki San Marino.

Dochody tego wielkiego państwa wynoszą 42.000, wydatki 40.000 fr. a cały dług nie przenosi 6.000 franków. Najmniejszy szlachcic polski potrafi lepiej zadłużyć się w ciągu jednego karnawału. Republika ma zgromadzenie narodowe, radę ściślejszą, dwóch prezydentów zwanych *capitani reggenti*, 1189 żołnierzy, (każdy obywatel jest obowiązany bronić państwa) i dwie armaty. Pieniądze swoje wybija w mennicy włoskiej, gdyż na założenie własnej jeszcze ją nie stać.

Będąc w Bolonji zaproszonym raz na objad do p. F. zastałem u niego jakiegoś poważnego jegomości, który miał na sobie strój wojskowy, podobny do tego, jakiego używa włoska gwardja narodowa. Przez nieuwagę gospodarza nie zostaliśmy sobie prezentowani. Przy objedzie zauważyłem, że mój jegomość zjadał *maccaroni col sugo* z niewidzianym apetytem; szczegół ten tak mi zaimponował, że przy czarnej kawie zapytałem pana F. jak się jego gość nazywa.

— A, przepraszam, — zawołał gospodarz — zapomniałem panów poznać!... Signor Giuseppe... i Signor P. *capitano reggente di republica San Marino!*

Amatorem makaronów był zatem prezydent tej potężnej republiki!

Znajomość zrobiona przy objedzie, nie skończyła się w tym samym dniu; we trzy tygodnie później, chcąc rzeczpospolitą z bliska poznać, odwidziłem prezydenta w jego własnem państwie.

Przyjął mnie grzecznie, ale poważnie, jakby był przezydentem przynajmniej jakiej republiki amerykańskiej.

Gawędząc długo i szeroko o rzeczach ogólnych, zapytałem mego gospodarza:

— Wy tu żyjecie jak w jednym domu, więc i tajemnic nie musicie mieć żadnych.

— Mylisz się pan. Tajemnice stanu są święte!

O mało nie parskąłem śmiechem, usłyszawszy ten frazes bombastyczny.

— A czy wolno wiedzieć, jakiej natury mogą być te tajemnice?

— Przed tgodniem właśnie załatwiliśmy sprawę pierwszorzędną. Wyobraź p. sobie, że między nami znalazł się człowiek, starzec siedmdziesięcioletni, który porozumiewał się z gabinetem Minghettego, aby republikę naszą wcielić do królestwa włoskiego! Udowodniwszy mu zdradę stanu skazaliśmy go jednogłośnie na śmierć!

— I wyrok został spełniony?

— Nie. Przez wzgląd na podeszły wiek obżałowanego zmieniliśmy karę śmierci na wygnanie...

— Nie wielka kara... pójdzie na przeciwległą górę i znajdzie się w innem państwie...

—Ale przestanie być obywatelem Republiki San Marino!

— Jakie też u was stosunki pod względem bezpieczeństwa publicznego?

— Złodziejów nie mamy, kradzieże bardzo rzadkie, ale skaleczenia i zabójstwa, których powodem prawie zawsze miłość, wydarzają się tak dobrze u nas, jak w każdej innej miejscowości włoskiej. Wczoraj mieliśmy trzy wypadki tego rodzaju.

— Czy przestępca polityczny innego państwa może tu znaleźć bezpieczne schronienie?

— Przez trzy dni, ale potem musi się wynieść, gdyż Republika nie może narażać się na gniew państw zaprzyjaźnionych!

— A ordery macie?

— Oczywiście, jak każde państwo! Przed miesiącem posłaliśmy nawet przez naszego ambasadora w Paryżu order synowi Cesarza Francuzów, i właśnie dziś otrzymaliśmy telegram, że Lulu z tym orderem na piersiach odbywał wczoraj przegląd wojsk na polu Marsowem! U nas z tego powodu wielka radość. Dziś wieczór urządzamy na cześć Napoleona III i jego syna iluminację całej Republiki! Mój panie, państwo myślące o sobie, powinno dbać o przyjaźń możnych sąsiadów!

Piękna republika, w której do dnia dzisiejszego istnieje kara śmierci za zbrodnie polityczne, w której pchnięcia nożem są na porządku dziennym, która wypędza politycznych wychodźców, która rozsyła ordery zagranicznym potentatom, i która urządza iluminacje na cześć człowieka, który sam podeptał republikę!

(C. d. n.)

AMAZONKI

w podaniu i dziejach.

Według Wilhelma Strickera opracował

Wł. Prdon.

(Ciąg dalszy).

Pomiędzy Francuzkami naczelne miejsce pod tym względem zajmuje Joanna d'Arc. Zbyt jest znaną, abyśmy się tutaj nad jej dziejami potrzebowali rozszerzać. Mniej daleko rozgłosu używa Joanna Hachette, która w r. 1472 po ucieczce mężczyzn, przy pomocy starszych niewiast i dziewcząt broniła miasta Besançon, przeciwko Karolowi Zuchwałemu, Burgundzkiemu. Najstarszym przykładem kobiety, która jedynie z pragnienia przygód zawód wojskowy sobie obrała, jest Ludwika Labé, z przydomkiem *la belle cordelière* (piękna powroźniczka) urodzona w 1526 czy 1527 r. w Lyonie, brała udział w oblężeniu miasta Perpignan w r. 1543, pod nazwiskiem kapitana Loys.

Szczególniej cała wojenna ruchawica czasów rzeczypospolitej francuskiej i Cesarstwa, wywołała wiele wojowniczek i to nie tylko pochodzenia francuskiego. Wymieńmy niektóre i ich czyny krótko, jak w akcie służby. Marja Szellinck, urodzona w r. 1756, zaciągnęła się w Marcu 1792 w Gandawie do wojska.

Pod Jemappes (6go listop. 1792) odniosła sześć ran. Pomimo to jednak odbyła z armją całą kampanję w Niemczech i dopiero przy opatrywaniu rany, zadanej jej pod Austerlitz — właściwą płeć jej odkryto. Mianowana porucznikiem przez Napoleona i własnym krzyżem jego udekorowana, w 1807 przeszła na pensję — a w 1840 umarła.

Wandejka Renée Bordereau straciła czterdziestu dwóch krewnych w czasie wojny domowej i była świadkiem śmierci swego ojca na gilotynie. Pałając rządzą pomsty, wstąpiła do dragonji wandejskiej i pod St. Lambert ubiła czterech *błękitnych*, to jest republikanów. Napróżno rzeczpospolita ścigała ją i nałożyła cenę 1000 fr. na jej głowę.

Zuchwała Wandejka doczekała się restauracji z Ludwikiem XVIII. a wraz z tem i orderu św. Ludwika.

W szpitalu inwalidów w Avignionie w 1845 r. umarła pani Aleksandryna Róża Layrac, z domu Barreau, niegdyś wraz z bratem i mężem należąca do armji wschodnio-pirenejskiej. Trzecia z kolei wdarła się na szańce miasta Alloqui i nieodstępowała swego męża aż do zawarcia pokoju w Amiens. W tym razie zdaje się, że jedynie przywiązanie do krewnych było pobudką do wyboru tak nieodpowiedniego dla kobiety zawodu. Taż sama pobudka istnieć musiała i w następującym wypadku. Gazety francuskie z 30go Czerwca 1845 piszą:

„U wejścia do aleji Auteuil zobaczyć można codziennie nędznie ubraną, siedmdziesięcioletnią może kobietę, małego wzrostu ale silnej budowy i męskich rysów.

Nosi ona order legji honorowej, otrzymany od samego Napoleona wieczorem w dniu bitwy pod miastem Eylau. Nazywa się Breton Double a służyła od 1805 r. przez wiele lat w wielkiej armji, gdzie doszła do stopnia sierżanta. Towarzyszyła mężowi swemu, kapitanowi Breton Double, którego straciła pod Quatre Bras. Sama zaś odniosła pod Friedlandem lekką ranę — a w bitwie pod Quatre Bras kula armatnia zdruzgotała jej nogę. Anglicy wzięli ją do niewoli i zaprowadziwszy do Irlandji, tam amputacji poddali. W 1816 powróciła do Francji; dopiero jednak w r. 1845 potrafiła uzyskać zadosyćuczynienie dla swoich słusznych pretensyj do trojakiej pensji: sierżanta, wdowy po zabitym oficerze, i członka legji honorowej.

O wiele bardziej interesującą postacią od powyższej, jest Regula Engel, o której losach dowiadujemy się z własnego jej pamiętnika, wydanego na poparcie prośby o pensję. Córka żołnierza z gwardji szwajcarskiej Fryderyka Wielkiego, wyszedłszy za mąż za pułkownika Florjana Engla, matka 21 dzieci, z mężem swoim dzieliła wszystkie kampanje francuskie, aż do upadku Cesarstwa. Wzięta razem z mężem do niewoli przez Austrjaków pod Regensburgiem, — długi czas w ciężkiem więzieniu w Zemlinie przebyła. Dwaj synowie padli przy jej boku w zamęcie walki. Jeden pod Barceloną, drugi pod Lipskiem. Broniąc tego ostatniego otrzymała niebezpieczną ranę. Pod Waterloo padłszy na ziemię od kartaczowego postrzału, widziała ginącego obok siebie męża. W szpitalu Hotel Dieu, gdzie ją przeniesiono, odwidzał ją Fryderyk Wilhelm III, powodowany ciekawością zobaczenia tak osobliwej kobiety.

Po próżnych staraniach u rządu burbońskiego o pensję, udała się do Nowego Orleanu do syna, i przybyła w chwili, gdy konał. Zniósłszy ten cios mężnem sercem, powróciła do Europy i czyniła wszelkie możliwe starania, aby połączyć się z dwoma ostatnimi synami, którzy z Napoleonem znajdowali się na Św. Helenie. Zawiedziona w pragnieniach swoich i nadziejach przeniosła się do Zurychu i tam wkrótce potem w 1821 umarła.

Ostatnią wreszcie wojowniczką Francuską która tu zasługuje na wzmiankę, jest Teresa Sutter, z domu Figueur. Urodziła się ona w Talmoy. — W 1793 r. wstąpiła do alobrogijskiego legjonu, który następnie stanowił część armji oblegającej Tulon. Niesłychana cięciość języka ściągnęła na nią przydomek Sans-gène. Napoleon, wówczas pułkownik artylerji, lubił ją bardzo, i często o niej, zostawszy konsulem, wspominał. W czasie wyprawy hiszpańskiej ogłoszono dekret wypędzający wszystkie kobiety z armji — ona tylko, służąca wówczas w dragonji, dla szczególnych zasług nie podległa wypędzeniu. Po kampanji włoskiej otrzymała pensję 200 fr. za ośmioletnią służbę i wystąpiła z wojska. Niedługo jednak bezczynność stała się jej nieznośną. Wstąpiła znowu do 9go pułku dragonów, kwaterującego w Paryżu. Tu Józefina usłyszawszy o niej, wezwała ją do siebie. Teresa Sans-gène pojawiła się w Saint-Cloud w pełnym uniformie, na koniu. Odbywszy jeszcze następnie kampanję z 1805 i 1806, w 1810 pomaszerowała wraz z armją do Hiszpanji, gdzie wzięta do niewoli przez Gerylasów, zaprowadzoną została do Anglji. W 1814 powróciła do Francji i natychmiast weszła znów do wojska. Dopiero pod Waterloo dostała uwolnienie od służby, z wielkiem odznaczeniem. Odniosła pięć ran, z tych jedną od postrzału a resztę od białej broni, pięć koni zabito pod nią, — jenerała Rogueza z pomiędzy nieprzyjacielskiej kawalerji wyrąbała. Wyszedłszy za mąż za niejakiego p. Sutter, który wkrótce umarł—żyła jeszcze aż do 1861 r. w szpitalu d'Enghien, z małej pensyjki Napoleona I. do której Napoleon III. coś dołożył. Umarła, w wieku lat 84.

O włoskich bohaterkach na polu walki znajdujemy pierwszą wzmiankę w r. 1420, przy okazji obrony S. Bonifacio na Korsyce przeciw Alfonsowi Aragońskiemu. Gdy Hiszpanie, udając iż chcą zaatakować miasto od morza, od strony lądu właściwy szturm przypuścili i z nienacka poczęli wdrapywać się na mury, postrzegła to pierwsza Margaretha Bobia, korsykanka szlachetnego rodu i w pierwszej chwili ogólnego popłochu, sama zachowawszy przytomność, rozkazała sypnąć na wrogów grad kamieni, który ich powstrzymał, a następnie stanąwszy na czele wycieczki, po dzielnem starciu odparła Hiszpanów. Inne kobiety, zapalone jej przykładem, oblewały szturmujących gorącą wodą, olejem i wrzącą smołą — a następnie przywdziawszy zbroje pokazywały się na murach, ażeby nieprzyjaciela złudzić co do właściwej liczby obrońców S. Bonifacio. Również dzielnie broniła w 1543 r. Nizzy przeciw tureckim korsarzom Catarina Segurana. Colomba Antonietti z Foligno, 21 letnia kobieta, walczyła przy boku męża swego, pułkownika Ludwika Porzio, przeciw Francuzom pod Velletri (19go Maja 1849) i przy obronie Rzymu padła na bastjonie S. Pancrazio od kuli działowej z okrzykiem: Viva l'Italia! Żona Garibaldego towarzyszyła mu także w ciemnozielonym stroju męskim i w kapeluszu kalabryjskim ze strusiem piórem, — na siwym koniu, uzbrojona.

W dziejach niemieckich znajdujemy najliczniejszy może kontyngens amazonek. Począwszy od kobiet cymbryjskich, spotykamy imiona żeńskich wojowniczek we wszystkich prawie walkach narodowych i religijnych niemieckich. W najnowszych czasach trzy największego nabyły rozgłosu: Eleonora Prochaska, Anna Lühring i Anna Unger. Wszystkie trzy opśpiewała muza Rückerta. Należały one do słynnych ochotników Lützowa, w czasie walki przeciw Napoleonowi I. Pierwsza z nich wstąpiła do wojska pod nazwiskiem Augusta Renza i długo ją miano za mężczyznę, pomimo cienkiego głosu, który ściągał na nią tysiące żartów ze strony kolegów, żartów, które się skończyły krwawemi i fatalnemi dla żartownisiów pojedynkami. Dopiero w czasie bitwy pod Göhrde (16. Września 1813), gdy w czasie ataku na górzystą pozycję strzał kartaczowy ją ugodził, odkryto jej płeć właściwą. Z tej rany umarła. Postawiono jej świetny pomnik na Annen-Kirchhof w Danenbergu. Jak już wspomnieliśmy, Rückert obrał ją za przedmiot jednej z poezyj swoich. Oprócz tego losy jej dostarczyły treści do libretta Opery „Prochaska“ ułożonego przez Fryderyka Dunkera — a do którego Bethoven skomponował w części muzykę— oraz do dramatu tegoż nazwiska, przedstawionego 1861 w Canstatt.

Anna Lühring, Bremenka, również pod męskim pseudonymem Kruse'go w wojsku znana, dla osłabienia podejrzeń że jest kobietą, dokonywała czynów szalonej prawie odwagi. W jednym z pochodów, w zimie, gdy oddział jej stanął przed zerwanym mostem, wahając się, co czynić, pierwsza rzuciła się do lodowato mroźnej i głębokiej wody, wołając: dzielny strzelec niczego się nie boi! Innym razem z dwoma tylko towarzyszami zaskoczona w drodze przez piętnastu Francuzów, po półgodzinnem oblężeniu w oberży, wyrąbać się i ujść zdołała. Po zawarciu pokoju, wróciwszy do Berlina, pozyskała wstęp do najpierwszych towarzystw, nawet do dworu. Żyła do 1863 r. w Hamburgu z pensji, udzielonej jej przez rodzinne miasto. (Dok. nast.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

IV.

Perły i ich połów.

„Nauką i pieniędzmi drudzy Cię zbogacą;
Mądrość musisz sam z siebie własną dobyć pracą.“

„Aby mądrości nabyć niedość mieć pojętność,
Nie dość uczyć się, mądrość nie jest umiejętność;
Ta pragnie z teorji praktykę wyciągnąć,
A tamta, teorję praktyką osiągnąć.“

Mickiewicz.

Jak krople srebrzystej rosy pokrywając źdźbła trawy na zielonej łące, słońca wschodem oblane, tysiącem barw świecą i migocąc metalowym swym połyskiem za podmuchem wiatru, wzrok przechodnia nęcą, tak w morzu rozsypane perły po różnobarwnym jego kobiercu, stokroć jeszcze wspanialszy przedstawiają widok temu, kto nie ustraszy się ani żarłocznych rekinów, ani głębin morskich, ani braku powietrza, jaki w nich śmiercią zagraża ohydną!

Perła prawdziwa, ten klejnot szlachetny, o który się pewno ubiegają nietylko łaskawe czytelniczki *Tygodnia*, lecz świata królowe, aby w nich zabłyszczeć, aby blaskiem ich choć chwilowo dodać piękności zwodniczym swym wdziękom—to utwór znikomego mięczaka, małża żyjącego na skałach, na gałązkach korali, na dnie w morzu, małża *perłopławem prawdziwym* zwanego. (*Meleagrina margaritifera.*) Są muszloznawcy, którzy kilka odmian perłopławu odróżniają, zowiąc je: *Margaritiphora*, *Meleagrina*, *Margarita*, *Perlamater*. Odmiany te zasadzają się na mniej lub więcej zaokrąglonym kształcie i grubości muszli, lub na braku ostrego wyrostka na tylnym jej brzegu. Najczęstszy perłopław (Meleagrina albo Avicula margaritifera) ma dwie skorupy jednakowe, okrągławe, prawie czworokątne, grube, warstwowate, z zawiasowym (tylnym) brzegiem prostym. Skorupy te na zewnętrznej swej powierzchni są zielonawo-popielatej barwy, i posiadają promieniste brózdki (karbki), idące w kierunku od zawias do brzegów, zwykle białego koloru. Na wewnętrznej stronie skorupy te odznaczają się świetnym połyskiem cudnie mieniących się barw perłowej macicy.

Jak wszystkie małże, perłopław okryty jest dwupołowym płaszczem, w którym pomieszczone są gruczoły wydzielające materję wapniowatą, skorupę, służącą do podpory i ochrony miękkiego zupełnie ciała. Brak głowy, jedna mała noga na brzuchu bisior wydająca, usta bezzębne — oto główne cechy perłopławu.

Lecz w jaki sposób małże, które od innych tak mało się różnią, mogą perły wydawać? Jest to pytanie, na które dziś już z pewnością odpowiedzieć można. Drażniona jakiemkolwiek obcem ciałem powierzchnia perłopławu, wydziela z siebie pewnego rodzaju materję wapniowatą, tę samą, z której skorupa zwierzęcia powstała, tę, którą perła przedstawia — perłową macicę. Nietylko perłopławy, lecz wszystkie małże, których skorupa ma blask perłowej macicy, mogą pereł dostarczać. I tak *skójka rzeńska* (Unio margaritifera), która i u nas się znajduje, *zwyczajna skójka* (Unio pictorum), *szczeżuje* (Anodonta) mieszkańcy naszych stawów i inne jak *Avicula albida* przy Nowej Hollandji, *A. ovata* i *A. tongana* na wyspach Przyjacielskich i św. Ducha, *A. georgiana* i *A. squamulosa* na Antylach i Brazylijskich brzegach i *A. macroptera* dają także perły, lecz nie wszystkie tak świetne swym blaskiem i wielkością, jak perły *muszli perłorodnej* czyli perłopławu.

Miejsce zamieszkania perłopławów jest obszerne, rozciąga się bowiem od wyspy Ceylon przez cały indyjski i wielki Ocean aż po nad brzegi Meksyku i Panama. Wody tych mórz dostarczają najpiękniejszych pereł, których wartość tak jest wysoko cenioną, iż nieraz przewyższa najszlachetniejszych kamieni, pomimo, iż perły jak wiemy, niczem innem nie są tylko wydzieliną gruczołów w płaszczu zwierzęcia pomieszczonych, taką samą, jaką jest wewnętrzna z perłowej macicy warstwa skorupy, z tą różnicą, iż się oddzielnie w zaokrąglonym kształcie uformowały, że są twarde, prześlicznie zabarwione i olśniewający mają połysk podobny szlachetnym kamieniom. We wnętrzu każdej perły dostrzedz można pewną ilość warstw odśrodkowo ułożonych, a nieraz w samym jej środku jakieś ciało obce, n. p. ziarnko piasku, na około którego warstwy te perłowej macicy się ułożyły. Ziarnko to piasku, lub inne obce ciało, pasożyt jaki, jajko w skorupie pozostałe itp. uciskając zewnętrzną powierzchnię płaszcza małża, pokrywało się z czasem coraz to liczniejszemi warstwami perłowej macicy i powodem było powstania perły. Nie w jednej też skorupie małża znaleść można po kilka i kilkanaście rozmaitej wielkości pereł; można też często napróżno szukać. Słowem powstanie perły jest tylko przypadkowe, wskutek nienormalnej, chorobliwej działalności gruczołów perło-macicznych. Na tem też polega sztuczna hodowla pereł u Chińczyków, którzy łowią perłopławy, a zraniwszy je w płaszcz ostrą szpilką, napowrót w morze wrzucają, aby za lat kilkanaście gotowe w nich perły znaleźć. Nie zawsze sztuka ta szczęśliwym bywa rezultatem uwieńczoną; często bowiem rana zabliźni się, a perły nie wyda, lecz w każdym razie długich lat potrzeba, aby się cenna perła wytworzyła. Nadto pamiętać potrzeba o pożywieniu i o czystej wodzie dla takich sztucznie hodowanych perłopławów.

Wszystkie perłopławy prowadzą życie towarzyskie, skupiając się na dnie morza lub na ławicach koralowych w liczne, nieprzeliczone kolonje, które czasami tak mocno za pomocą bisioru do skały, lub korala są przytwierdzone, iż bez pomocy noża nie można je oderwać. A choć w środku morza w bezdennej przepaści prawdopodobnie także się znajdują, z przyczyny jednak niebezpieczeństw, na które przy połowie nurkowie są wystawieni, łowią się powszechnie tylko w nieznacznem oddaleniu od brzegów, w głębokości nie przechodzącej 120 stóp, a często jak nad brzegami Panama w głębokości 18—20 st.

Nie wszędzie, nie u wszystkich ludów jednakowo jest gust wyrobiony; nie wszędzie, nie u wszystkich ludów biała perła z popielatym odcieniem jest najwyżej cenioną; na wyspie Ceylon różowawe, w Persji i w ogólności u wschodnich narodów żółtawe perły, a w Europie tylko czysto białe i z odcieniem popielatym są najwięcej poszukiwane. Od każdej jednak perły cennej, oprócz barwy wymaganym jest szczególny, jej tylko właściwy połysk, czyli woda albo ogień, jako też największa wielkość i piękny kształt. Te przymioty posiadająca perła nabiera wartości prawdziwie bajecznej! Kształt pereł jest po największej części kulisty, lub podługowato-okrągły, są jednak kształtu gruszki, nierówne, kanciaste przez Francuzów *Baroques* nazywane. Są małe,

bez wagi kupowane, są uncję ważące, są nawet łutówki. Sprzedają się zwykle większe jak djamenty na karaty (karat=4 granom). Wschodnia perła, gran ważąca, kosztuje talara, 2 grany 4 tal. a 2 karaty 64 tal. Czterokaratowa zaś perła już cenę 250 talarów przewyższa. Francuski turysta Tavernier widział jednę perłę nad brzegami Persji złowioną, której cena na 2,649.600 franków była naznaczoną, a w koronie cesarskiej Rudolfa II znajdowała się perła wielkości średniej gruszki. Dapper powiada, iż papież Leon X zapłacił za jednę perłę 88.000 tal. Lecz najcenniejsze perły, jakie były w ludzkiem posiadaniu, to dwie perły Kleopatry. Od Pliniusza wiadomem jest, że ta roskoszna monarchini Egiptu, owa królowa zalotnic, która u nóg swoich dwóch panów świata widziała, Juljusza Cezara i Marka Antonjusza, chcąc tego ostatniego, znanego marnotrawcę, rozrzutnością w biesiadach olśnić, gdy ten opowiadając jej o ucztach swoich, ile go kosztowały, zapytał, czy może sobie wyobrazić droższą ucztę, ze śmiechem założyła się z nim, że urządzi objad, który ją dziesięć miljonów sestercyj (250.000 luidorów) kosztować będzie. Gdy Antonjusz wierzyć jej nie chciał, rozpuściła w occie perłę z zausznicy swojej, i ten nieco za drogi napój dla ludów, które go opłacały, jednym tchem połknęła. Drugą pozostałą z zausznicy jej perłę, gdy ta zdobywczyni serc królewskich ostatecznie w niewolę popadła — przecięto na dwie połowy i zawieszono w uszach Venery w Panteonie rzymskim. Tak więc Venus miała w uchu połowę uczty pięknej Kleopatry! Nie zazdrośćmy jednak tej tak drogiej uczty, składała się bowiem ona tylko z octanu wapniowego! Bo w rzeczywistości te wszystkie, choćby najpiękniejsze perły Wschodu, z całym ich ogniem i blaskiem niczem więcej nie są, jak węglanem wapniowym, takim jakim jest ich macica, takim jakim jest marmur, jakim jest kreda, jakim jest koral!

Lecz jeżeli tak jest, to zkąd ta wysoka ich wartość, zkąd cena niesłychana? Ztąd, że są piękne a rzadkie stosunkowo, że w głębi morza mieszkanie sobie obrawszy, trudne są do zdobycia, i jak korale na niebezpieczeństwo śmierci narażają.

Cztery są miejscowości na Wschodzie słynne z połowu pereł: 1) Naokoło wysp Bahrem i Biddulf, lub w porcie Sarji w zatoce perskiej; 2) na wybrzeżu szczęśliwej Arabji przy mieście *Katif* niedaleko od Garify, a na przeciwległej stronie poprzedniego miejsca połowu; 3) w odnodze *Manar* na zachodnim brzegu wyspy *Ceylon* i na brzegu *Madury* czyli na tak zwanem *Perłowem Wybrzeżu* i 4) na brzegach *Japonji*. W Ameryce jest pięć znaczniejszych takich miejsc: 1) *Nowa Andaluzja* i *San Domingo*; 2) wyspa *Margarita*; 3) przy Comogate na *Terrafirma*; 4) *Rio de la flacha* i 5) na św. *Marcie*. Najliczniejsze jednak ławice perłowe są w odnodze Manar, na zachodnim brzegu wyspy Ceylon. Tam połów pereł najsłynniejszy i najzyskowniejszy, a odbywa się tylko w jednę porę roku, od lutego do kwietnia, aby nie wygubić gatunku tych pięknych muszel, których wydobycie często śmiercią bywa opłacane.

Już za czasów Dawida i Salamona ławice te podług wszelkiego prawdopodobieństwa były znane. Od VIII wieku były w posiadaniu Mahometan aż do początku XVI, w którym to czasie Portugalczycy je posiedli, w środku XVII w. Hollendrzy zdobyli je, a w końcu ubiegłego stulecia sprzedali angielsko-indyjskiej kompanji, która w 1798 r. zapłaciwszy 192.000 funt. sterl. dzierżawy, już je prawie do szczętu zniszczyła.

Ciekawym jest nadzwyczajnie widok połowu pereł na wybrzeżu Ceylonu. Smutnym jest zwykle jak pustynia, bezludnym i głuchym brzeg tej wyspy, który skwarem zawsze jaśniejącego słońca gorącej strefy pieczony, nie może wydać roślinności. Żadnego drzewa, cienia, jakby śmierć przeszła tamtędy, tak wszystko pusto i głucho, wszystko martwe, bez życia! Tylko pałac gubernatora kilku lichemi drzewkami obsadzony jedyną jest ozdobą okolicy. Nagle na rządu wezwanie na tej piekącej puszczy powstaje życie. Połów pereł!! Jakby za uderzeniem różczki czarodziejskiej tysiące ludzi z głębokiego Indostanu śpieszą i na tym pustym brzegu osiadają! Jakby z pod ziemi wyrastają wzdłuż wybrzeża szerokie ulice, tysiące czarnych i chciwych zysku Indjan się roi nagle domy i domki, jak grzyby po deszczu, stają z bambusowych pali i liści palmowych, przykryte różnobarwnemi matami wełnianemi, a w nich zamieszkują ludzie rozmaitego prowadzenia, zawodu i stanu. Masz między nimi odważnych złodziei, masz kieszonkowych, masz tamecznych z bogactw swych dumnych mieszkańców, którzy ciekawością zdjęci, przybyli w lektykach, aby się przypatrzyć tutejszemu zgiełkowi; masz kapłanów i kapłanki, zakonników i zwolenników każdej sekty, wróżbistów, tancerzy i tancerki, masz rozmaitego rodzaju pajaców, żołnierzy i t. p.

I codzień na odgłos działowego strzału kilkaset, a nawet tysiąc na raz łodzi jaskrawemi kolorami malowanych i przyozdobionych różnobarwnemi chorągiewkami, odbija od brzegu w kierunku ku odmiałom perłorodnym o pięć lub sześć mil odległym od wyspy. Widok tem więcej ma uroku, iż ma miejsce podczas wschodzącego słońca. Łodzie są rozmaitej wielkości; w większych znajduje się po dwóch nurków, w mniejszych po jednym, a w każdej żołnierze na straży. Dzień do połowu wybrany tak sprzyja pod względem pogody, iż każdą rano od brzegu odbijającą łódkę, wiatr sam posuwa na środek morza, wracającą w południe on także popycha z powrotem ku brzegom. W łódkach Murzyni w konchy morskie trąbiąc, rozweselają ponurych nurków, którzy odebrawszy od marubutów, swych kapłanów, zaklęte relikwie, wierzą, iż ujdą przed napaścią ohydnej śmierci, że ich te relikwie od niej ochronią. Gdy pochód cały do ławic perłorodnych się zbliża, tam czeka na nich uzbrojona malajskimi żołnierzami szalupa. Wprawni do swego rzemiosła nurkowie, w jednej chwili do naga rozebrani, uwiązują sobie kamień 20 do 30tu funtów ważący do nóg, a długim sznurem, którego koniec przytwierdzony do łódki, opasują swe ciało. Uszy i nos zatkane mają watą lub bawełną, a do ręki przymocowaną gąbkę, w oliwie palmowej umaczaną, aby w potrzebie odetchnięcia mogli nią sobie usta zatkać i nie potrzebowali wydobywać się na wierzch. Zawiesiwszy u szyi kosz, a rękę nożem opatrzywszy, rzucają się z szybkością błyskawicy w otchłań morską; nożem odrywają w mgnieniu oka największe muszle od skał, do których te za pomocą bisiorów są przymocowane, i pociągając za sznur, dają znak aby ich wydobyto. Przez 10 — 12tu godzin tj. przez czas połowu podczas każdego dnia, nieszczęśliwy nurek kilkadziesiąt razy musi się tak narażać, tak, iż mu mało czasu do odpoczynku starczy, i jakkolwiek przyzwyczajony jest do dłuższego przebywania pod wodą, częstokroć wyciągają go wpół martwego, a z ust i nosa bucha krew wskutek silnego natężenia.

Mniej niebezpieczną jest wyprawa w podmorskie te krainy pod dzwonem. A choć wtedy przez rekina można być również pożartym, to jednakowoż śmierć przez zaduszenie nie grozi.

Nie mniej wspaniały widok przedstawia połów nad brzegami Persji od portu Sarja do wyspy Biddulf, na przestrzeni 70 mil geograficznych, gdzie kilka tysięcy łodzi i z jakie 30.000 ludzi od Czerwca do Września każdego roku połowem tym jest zajętych. Nikt nie pobiera tu osobnej zapłaty — wszyscy uczestnicy do wspólnego podziału należą. Każdy z nurków przebywa 40 sekund pod wodą, a przez ten krótki czas zabiera masę muszli z sobą. Po trzech zaś minutach wypoczynku powtarza znów swą czynność. Żaden z nich dłużej jak minutę wytrzymać nie może, a choć niektórzy autorowie poważni podają czas możebnego przebywania pod wodą aż do 5 minut, to jednakowoż my to między bajki włóżmy. O perskich perłach w handlu już z czasów Fenicjan wiemy, a obecnie te ławice należą do sułtana Maskatu. Dochód roczny z wybrzeża perskiego dawniej był cenionym na 300 miljonów funtów szterlingów, dziś już tylko dziesiątą część tego wynosi.

Lecz wróćmy do połowu. Najpiękniejszym podczas całego aktu jast obraz, gdy naraz widać setki wynurzających się z wnętrzności morskiej czarnych jak Trytony Murzynów, obwieszonych wodorostami i uginających się pod ciężarem kosza napełnionego najświetniejszemi skarbami morza! Tak wychodzący nurek wyciąga za każdym razem przynajmniej sto muszel, zsypuje je do łódki, a odpocząwszy chwilkę, znów iść musi w te głębie morskie, aż póki pełną zupełnie nie będzie łódka. Z pełnemi statkami wraca pochód cały na ląd i wszyscy na gorący od skwaru słonecznego piasek wysypują swą zdobycz. Wtenczas dopiero gdy już małż gnije zupełnie, wydobywają perły z jego skorupy.

Pomyśl więc czytelniczko, z jakiego to zakażonego gnijącem powietrzem, z jakiego brzydkiego łona wydobywają tę perłę, ów klejnot szlachetny, na ile niebezpieczeństw naraża się ten biedny Indjanin dla tego, abyś ty piękną swą główkę nią przystroiła!

Z żyjącego perłopławu muszli niepodobna jest wydostać perłę, tak mocno swój domek ma zawarty, zresztą łatwo by można było stracić ją przez niedostateczną uwagę. W każdym razie czekać dopiero trzeba, aż zwierzę rozkładać się zacznie!

ZDROWAŚ MARYJA.

Dzwon wieczorny w ciszy uroczystej
Czystym dźwiękiem powietrze rozbija...
Jak westchnienie drży w przestrzeni szklistej:
Zdrowaś Maryja!

Srebrne skrzydła ponad gwarem świata
Biały anioł spokoju rozwija...
Z łona kwiatów woń cicha ulata:
Zdrowaś Maryja!

Ton łkającej piosenki słowika
W przerywanych akordach się wzbija...
Z tchnieniem wiatru ku niebu pomyka:
Zdrowaś Maryja!

Jasny strumień po zielonej łące
Skrzącą wstęgę wśród krzewów przewija...
Fale mdleją w zacieniu, szemrzące:
Zdrowaś Maryja!

A mnie uśmiech nieznanej błogości
Łzę tęsknoty z źrenicy wypija...
I pierś szepce w niezmiernej wdzięczności:
Zdrowaś Maryja!

25. Marca 1875.

Marja B.

Sylf.

Z Aleksandra Dumas'a.

Ja jestem Sylfem, niczem — jam tylko cieniem, snem,
Jam napowietrzny gość, jam tajemniczy duch,
Jam lekka woń zefirów niesiona cichym tchem,
Ogniwo, co tu łączy granice światów dwóch!

Przeczyste ciało moje w promiennej tkance szat
Drżąc w pośród fal eteru, w wieczornych pływa mgłach;
Lecz przed zuchwałem okiem kryję się w cieniach rad,
I lubię niewidziany w samotnych tonąć snach.

Gdzie się tysiące świateł skrzy nad jeziora szkłem,
Tam zwracam lot mój lekki, skąpany w rosy łzie;
I na djamentowem chwiejąc się skrzydle mem
Lubię swój obraz widzieć w wód kryształowych tle.

W ogrodach waszych często odbywam ucztę swą,
Wonią się upajając, wśród krzewów cicho mknąc;
Pod stopy mej powiewem rośliny czoła gną,
Gdy u kielicha kwiatów zwieszam się słodycz ssąc.

U ognisk waszych nieraz jak wierny czuwam stróż...
Na oczy wpół otwarte ułności kładąc dłoń —
I zdroje snów niewinnych, jak kwiaty białych róż,
Zlewając na uśpioną dziecięcia czystą skroń.

Gdy noc w swój woal skryje oblicze wsi i miast,
Ja ślizgam jak nić złota przez błękit górnych stron—
A widząc mnie śmiertelni mówią: — To jedna z gwiazd,
Co zwykła nam objawiać drogiej istoty zgon!

Lwów 12 listopada 1874 r.

Marja B.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

(Ciąg dalszy.)

Rozdział XIII.

(Wyjazd postanowiony. — Przypuszczenia. — Przygotowania. — Trzej pasażerowie. — Pierwsza noc. — Druga noc. — Wyspa Tabor. — Poszukiwania na wybrzeżach. — Poszukiwania w lesie. — Nie ma nikogo. — Zwierzęta. — Rośliny. — Mieszkanie ludzkie. — Wszędzie pusto.)

— To rozbitek jakiś, opuszczony na wyspie Tabor, kilkaset mil tylko od nas! zawołał Pencroff. A! panie Cyrus, teraz już się pan nie będziesz sprzeciwiał mojemu projektowi.

— Nie, Pencroffie, odparł Cyrus Smith, jedź i to jak najprędzej.

— Więc jutro?

— Niech będzie jutro.

Inżynier trzymał jeszcze w ręku papier wydobyty z butelki. Podumał nad nim chwil kilka, poczem odezwał się znowu w te słowa:

— Z dokumentu tego, przyjaciele, z samej formy, w jakiej został spisanym, należy przedewszystkiem wysnuć następujące wnioski: więc najpierw, że rozbitek zostający na wyspie Tabor posiada dość obszerne wiadomości marynarskie, skoro podaje tak stopień szerokości jak i długości geograficznej wyspy, zgodne co do minuty z temi, jakie my wynaleźliśmy; a powtóre, że jest z pochodzenia Anglikiem lub Amerykaninem, ponieważ dokument spisany jest w języku angielskim.

— To wniosek całkiem logiczny, — odezwał się Gedeon Spilett,— a obecność tego rozbitka wyjaśni nam fakt wyrzucenia owej skrzyni na brzeg naszej wyspy. Ponieważ istnieje rozbitek, zatem musiało także nastąpić rozbicie. Co się zaś tyczy tego pierwszego, to jego szczęście, że Pencroffowi przyszło do głowy wybudować statek i spróbować go dziś właśnie, bo jeden dzień później, a butelka mogła się roztłuc o skały.

— W samej rzeczy rzekł Harbert, to traf szczęśliwy, że Bonawentura nadpłynął właśnie w chwili, gdy butelka pływała jeszcze po wodzie!

— Nie wydaje się to panu zdarzeniem dziwacznem? zapytał Cyrus Smith Pencroffa.

— Nie, tylko szczęśliwem, odparł marynarz. Cóż pan w tem widzisz nadzwyczajnego, panie Cyrus? Butelka musiała przecież którędyś popłynąć, tak dobrze tędy, jak którędy indziej!

— Masz może i słuszność, Pencroffie, odparł inżynier, a jednak...

—A nie ma też jakiego śladu, że butelka od dłuższego już czasu pływała po morzu? zauważył Harbert.

— Żadnego, odparł Gedeon Spilett, a nawet dokument wydaje się świeżo spisanym. Co ty o tem sądzisz, Cyrusie?

— Trudno to sprawdzić, a wreszcie dowiemy się o tem wkrótce! odparł Cyrus Smith.

Podczas tej rozmowy Pencroff nie próżnował. Zmienił bieg statku, a Bonawentura całą piersią prując fale, mknął pełnemi żaglami ku przylądkowi Ostrego Szponu. Każdy dumał o rozbitku z wyspy Tabor. Czy jeszcze czas go ocalić? Było to wielkiej wagi zdarzenie w życiu naszych osadników! Oni sami byli także rozbitkami, lecz zachodziła obawa, że tamtemu mniej od nich sprzyjało szczęście, więc obowiązkiem ich było pospieszyć z pomocą nieszczęśliwemu.

Opłynęli dokoła przylądek Ostrego Szponu i o godzinie czwartej zarzucił Bonawentura kotwicę u ujścia Dziękczynnej.

Tego wieczora omówiono szczegóły nowej wyprawy. Zdawało się właściwem, ażeby Pencroff z Harbertem, jako świadomi żeglugi, sami podjęli tę podróż.

Wyruszywszy nazajutrz t. j. 11go października, mogli stanąć na miejscu 13go za dnia, przy wietrze bowiem, jaki panował, czterdzieści ośm godzin wystarczało do przebycia stu pięćdziesięciu milowej przestrzeni. Licząc jeden dzień pobytu na wyspie, a trzy lub cztery dni napowrót można było przypuścić, że 17go października będą z powrotem na wyspie Lincolna. Pogoda była piękna, barometr zwolna się podnosił, wiatr zdawał się stałym, wszystko sprzyjało przedsięwzięciu tych zacnych ludzi, których obowiązek ludzkości powoływał z dala od ich wyspy.

Tak więc postanowiono, że Cyrus Smith, Nab i Gedeon Spilett pozostaną w Pałacu Granitowym, ale przeciw temu wniesione zostało od razu jedno przedstawienie — oto Gedeon Spilett, pomny na swój urząd korespondenta dziennika *New-York Herald*, oświadczył, że raczej wpław się uda za okrętem, niżeliby miał opuścić podobną sposobność. Pozwolono mu więc wziąć udział w wyprawie.

Jeszcze tego wieczora zniesiono na pokład Bonawentury kilka kawałków pościeli, narzędzia, broń, amunicję, busolę i żywność na dni ośm, a uwinąwszy się raźnie z ładugą, powrócili osadnicy do Pałacu Granitowego.

Nazajutrz, o godzinie piątej z rana, nastąpiło pożegnanie, przyczem obustronnie nie obeszło się bez wzruszenia. Pencroff, rozpiąwszy żagle, skierował statek ku przylądkowi Ostrego Szponu, który opłynąwszy dokoła, należało następnie puścić się prosto w kierunku południowo-zachodnim.

Bonawentura oddalił się już ćwierć mili od brzegów, gdy pasażerowie jego ujrzeli na górze Pałacu Granitowego dwóch ludzi dających im znaki pożegnalne. Był to Cyrus Smith i Nab.

— Oto przyjaciele nasi! zawołał Gedeon Spilett. Wszak to pierwsze rozłączenie się nasze od piętnastu miesięcy!...

Pencroff, korespondent i Harbert po raz ostatni skinęli im na znak pożegnania, i Pałac Granitowy zniknął wkrótce po za wysokiemi skałami przylądka.

Przez pierwszych kilka godzin Bonawentura płynął równolegle z południowemi brzegami wyspy Lincolna, która niebawem przedstawiała się oczu podróżnych jak koszyk zielony, z którego wynurzała się góra Franklina. Wzgórza zmalałe oddaleniem, nadawały jej postać nie bardzo zdolną przynęcić statki do jej brzegów.

Około godziny pierwszej z południa minęli przylądek Jaszczurczy, płynąc pełnem morzem dziesięć mil od brzegów. W tej odległości nie podobna już było dojrzeć ani znaku północnych wybrzeży ciągnących się aż do grzbietów góry Franklina, a w trzy godziny później, zniknął na widnokręgu wszelki ślad wyspy Lincolna.

Bonawentura sprawował się wyśmienicie. Unosił się lekko na falach i szybował raźnie. Pencroff rozwinął żagiel strzałkowy i w pełnem ożaglowaniu płynął w prostym kierunku wskazanym przez busolę.

Od czasu do czasu Harbert zastępował go przy sterze, a chłopak miał rękę tak pewną, że marynarz nie mógł mu wytknąć najmniejszego zboczenia.

Gedeon Spilett gawędził to z jednym, to z drugim, a w potrzebie sam przykładał rękę do pracy. Kapitan Pencroff był zupełnie zadowolony ze swej załogi i przebąkiwał nawet o uraczeniu jej „lampeczką wina od kurzu!"

Wieczorem sierp księżyca, który dopiero 16go miał dojść do pierwszej kwadry, zarysował się na ściemnionem tle nieba i wkrótce zagasł. Noc była ciemna ale roziskrzona gwiazdami i zapowiadała pogodny dzień nazajutrz.

Pencroff, przez ostrożność, zwinął żagiel strzałkowy, nie chcąc narazić się na jaki niespodziewany figiel wiatru z płótnem na maszcie. Był to może zbytek ostrożności przy tak pogodnej nocy, ale Pencroff był przezornym marynarzem, i nikt go za to nie zganił.

Korespondent przespał część nocy. Pencroff i Harbert zmieniali się co dwie godziny przy sterze. Marynarz ufał Harbertowi jak samemu sobie, a zaufanie to usprawiedliwiał chłopak swą zimną krwią i swym rozsądkiem. Pencroff wytykał mu kierunek, jak komendant sternikowi, a Harbert nie dał Bonawenturze zboczyć od niego ani na jeden włos.

Noc upłynęła szczęśliwie, a następny dzień 12. października przeszedł tak samo jak poprzedni. Przez cały dzień trzymano się ściśle kierunku południowo-zachodniego, a jeśliby tylko jaki prąd nieznany nie pochwycił okrętu, Bonawentura musiał wylądować wprost na wyspę Tabor.

Morze, po którem płynął statek, było całkiem puste. Czasem tylko jaki duży ptak, albatros lub fregata przelatywał w oddaleniu strzału, a Gedeon Spilett zapytywał sam siebie, czyli pomiędzy temi potężnemi latawcami nie znajduje się ten, któremu powierzył swą ostatnią kronikę dla dziennika *New-York Herald*? Zdawało się, że ptaki te były jedynemi istotami odwidzającemi tę część Oceanu pomiędzy wyspą Tabor a wyspą Lincolna.

— A wszakże to właśnie czas, w którym statki wyjeżdżające na połów wielorybów zwykły zwidzać południowe strony Cichego Oceanu, zauważył Harbert. Zaprawdę nie wiem, czy jest gdzie morze podobnie puste jak to!

— Ono wcale nie jest tak puste! odparł Pencroff.

— Jak pan to rozumiesz? zapytał korespondent.

— Przecież my na niem jesteśmy! Czy pan nasz okręt masz za jaki kawałek rozbitego czerepa, a nasze osoby za gatunek delfinów?

I Pencroff zaśmiał się ze swego żartu.

Według przypuszczalnego obliczenia przepłynął Bonawentura, od chwili swojego wyjazdu z wyspy Lincolna do końca tego dnia, to jest w przeciągu trzydziestu sześciu godzin, przestrzeń stu dwudziestu mil, czyli chyżość jego wynosiła trzy i jednę trzecią mili na godzinę. Powiew wiatru był słaby i słabł coraz więcej. Na wszelki jednak wypadek można się było spodziewać, że jeżeli obliczenie ich było trafne, a kierunek okrętu dobry, nazajutrz z brzaskiem dnia ujrzą wyspę Tabor.

To też ani Gedeon Spilett, ani Harbert, ani Pencroff nie spali całą tę noc z 12. na 13. października. Wyczekując niecierpliwie dnia, nie byli w stanie przytłumić w sobie żywego wzruszenia. Przedsięwzięcie ich pod wielu względami było tak niepewne!

Dalekoż jeszcze oddaleni byli od tej wyspy Tabor? Czy tę wyspę dotychczas zamieszkiwał rozbitek, któremu na pomoc spieszyli? Co to był za człowiek? Czy towarzystwo jego nie zamąci spokoju osady dotąd tak zgodnie żyjącej? Czy przystanie wreszcie na to, by swoje teraźniejsze więzienie zamienić na inne? Zagadki te, które dzień następny miał niewątpliwie roztrzygnąć, spłaszały sen z ich powiek, i od pierwszego świtania wytężali wzrok i wodzili nim kolejno po całym widnokręgu zachodnim.

— Ziemia! zawołał Pencroff około godziny szóstej zrana.

Ponieważ niepodobna było przypuszczać, ażeby się Pencroff omylił, więc musiała to być ziemia niewątpliwie.

Łatwo wystawić sobie radość małej załogi Bonawentury! Za kilka godzin staną na wyspie!

Wyspa Tabor, rodzaj płaskiego wybrzeża wynurzającego się zaledwie z fal morza, nie była oddaloną więcej jak na piętnaście mil. Przylądek Bonawentury, posunięty nieco ku południowi wyspy, górował nad nią sam jeden, i w miarę jak słońce wychylało się na wschodzie, tu i ówdzie pojedyncze szczyty stawały się wyrazistemi.

— To wysepka o wiele mniejsza od wyspy Lincolna, zauważył Harbert, i podobnie jak ona zawdzięcza swe istnienie zapewne jakiejś formacji podwodnej.

O godzinie jedenastej z rana Bonawentura oddalony był od wyspy nie więcej jak na dwie mile, a Pencroff szukając przejścia ku wylądowaniu, posuwał się z jak największą ostrożnością po tych nieznanych wodach.

Wtedy można było w całości objąć okiem wysepkę, porosłą zielonemi klombami gumowców i innych dużych drzew, z tego samego rodzaju co na wyspie Lincolna. Ale rzecz dziwna, ani nie wznosił się nigdzie dym świadczący o zamieszkiwaniu wyspy przez ludzi, ani też nigdzie na wybrzeżu nie ukazał się znak żaden!

A jednak dokument wspominał wyraźnie o rozbitku, i rozbitek ten powinien się był znajdować na czatach!

Tymczasem Bonawentura zabłąkał się pomiędzy dziwaczne przesmyki wśród skał, których każdy zakręt śledził Pencroff z jak największą uwagą. Harberta posadził przy sterze, sam zaś, stojąc na przedzie okrętu, wpatrywał się w wodę, gotów każdej chwili zwinąć żagiel, którego sznur trzymał w ręku. Gedeon Spilett daleko-widzem przebiegał wszystkie wybrzeża, nie dostrzegając nic zgoła.

Wreszcie około południa potrącił Bonawentura przodem o piaszczystą płaszczyznę. Wyrzucono kotwicę, zwinięto żagle i cała załoga okrętowa udała się na ląd.

Nie podlegało wątpliwości, że była to w samej rzeczy wyspa Tabor, ponieważ na najnowszych mapach nie było żadnej innej wyspy w tej stronie Cichego Oceanu, pomiędzy Nową Zelandją a brzegami amerykańskiemi.

Przymocowano starannie okręt, ażeby odpływające morze nie uniosło go ze sobą, poczem Pencroff z dwoma swoimi towarzyszami, uzbroiwszy się należycie, puścili się brzegiem ku wzgórkowi posiadającemu kształt ostrokręgu, dwieście pięćdziesiąt do trzysta stóp wysokiemu, wznoszącemu się w oddaleniu blisko pół mili.

— Ze szczytu tego pagórka, rzekł Gedeon Spilett, będziemy mieli bezwątpienia ogólny przegląd całej wyspy, co nam ułatwi dalece poszukiwania.

—To zupełnie tak, jak sobie postąpił najpierw pan Cyrus na wyspie Lincolna, kiedy wylazł na górę Franklina, zauważał Harbert.

— Zupełnie tak samo, odparł korespondent, i jest to sposób najodpowiedniejszy!

Gawędząc tak, szli podróżnicy nasi krajem łąki, kończącej się u samego podnóża ostrokręgu. Przed nimi wzlatywały gromady gołębi skalnych i morskich jaskółek, podobnych tym, które widywali na wyspie Lincolna. W lesie, który się ciągnął wzdłuż łąki po lewym jej boku, słyszeli szelest w krzakach i widzieli kołyszące się zarośla, co zdradzało obecność jakichś bardzo płochliwych zwierząt; lecz dotychczas nic nie wskazywało, ażeby wyspa zamieszkałą była przez ludzi.

Przybywszy do podnóża ostrokręgu, Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett w jednej chwili wdrapali się na szczyt jego, zkąd wzrok ich obejmował cały widnokrąg.

Znajdowali się na wysepce nie posiadającej więcej jak sześć mil obwodu, którego linje, ani nie wyskakując na zewnątrz w liczne przylądki i języki, ani wżynając się w głąb w liczne przystanie i ostoje, tworzyły kształt podłużnie owalny.

Do koła rozlewała się pusta zupełnie płaszczyzna morza aż po krańce widnokręgu. Nigdzie lądu, nigdzie żagla!

Wysepka ta, porośnięta całkowicie lasem, nie przedstawiała tak urozmaiconego widoku jak wyspa Lincolna, której jedna część była jałowa i dzika, podczas gdy druga żyźna i bogata. Tu widzieli przed sobą tylko jednostajną masę zieleni, z pomiędzy której wznosiły się dwa lub trzy nie wielkie pagórki. Owal wysepki przerzynał ukośnie strumień płynący szeroką łąkę i wąskiem ujściem wpadający do morza na wybrzeżu północnem.

— Szczupły kraik, zauważył Harbert.

— W samej rzeczy, rzekł Pencroff, nam tu było za ciasno!

— A co więcej, odparł korespondent, zdaje się być niezamieszkałym.

— W istocie, odezwał się Harbert, ani śladu człowieka.

— Zejdźmy na dół, odparł Pencroff, i szukajmy.

Marynarz z obydwoma towarzyszami swoimi powrócili na brzeg morza, gdzie zostawili Bonawenturę. Postanowili zejść wpierw piechotą całą wysepkę dokoła, a potem dopiero zapuścić się w głąb jej, tak by żaden kącik nie uszedł ich baczności.

Pochód wzdłuż brzegu morskiego nie przedstawiał żadnych trudności, tu i ówdzie tylko olbrzymie skały przecinały im drogę, lecz łatwo było je obejść. Podróżnicy nasi skierowali swe kroki ku południowi, płosząc po drodze liczne gromady morskiego ptactwa i stada fok, które na ich widok z daleka już rzucały się w morze.

— Bestje te, zauważył korespondent, nie pierwszy raz widzą ludzi. Boją się ich, więc ich znają.

W godzinę później przybyli wszyscy trzej do południowego końca wysepki, zakończonego spiczastym przylądkiem, skąd puścili się dalej na północ wzdłuż wybrzeży północnych, pokrytych piaskiem i skałami, które otaczał w głębi gęsty bór.

Nie znaleźli nigdzie znaku mieszkania ludzkiego, nigdzie śladu ludzkiej stopy na całym obwodzie wysepki, którą w czterech godzinach obeszli dokoła.

Był to fakt co najmniej dziwny, i chyba należało mniemać, że wyspa Tabor albo wcale nie była albo już nie była zamieszkałą. Zresztą wszak łatwo być mogło, że dokument ów pisany był przed kilką miesiącami, ba nawet przed kilku laty, a w takim razie rozbitek albo mógł powrócić do ojczyzny, albo zginąć z głodu i nędzy.

Pencroff, Gedeon Spilett i Harbert, czyniąc najrozmaitsze mniej lub więcej prawdopodobne przypuszczenia, zjedli na prędce objad na pokładzie Bonawentury, by natychmiast wyruszyć na dalszą wycieczkę, dopóki noc nie zapadnie.

O godzinie piątej z wieczora puścili się w głąb lasu.

Za ich zbliżeniem się pomykały liczne zwierzęta a zwłaszcza, rzecby nawet można wyłącznie, kozy i bezrogie, które jak łatwo było rozpoznać, należały do gatunku europejskiego. Bezwątpienia jakiś okręt, który wypłynął na połów wielorybów, zostawił je na wyspie, gdzie się szybko rozmnożyły. Harbert postanowił jedną lub dwie pary tych zwierząt zabrać żywcem na wyspę Lincolna.

Nie podlegało zatem żadnej wątpliwości, że niegdyś ludzie zwidzili byli tę wysepkę. Dobitniej jeszcze świadczyły o tem ścieżki wyde-

ptane wśród boru, drzewa pościnane siekierą i widoczne wszędzie ślady ludzkiej pracy; ale te drzewa nawpół już zgniłe, ścięte były jeszcze przed wieloma laty, karby od siekiery porastał mech, wysokie i gęste zarośla zarastały ścieżki, które ledwie można było rozpoznać.

— Dowodzi to jednak, zauważył Gedeon Spilett, że ludzie nie tylko wylądowali byli kiedyś na tej wysepce, ale ją przez jakiś czas zamieszkiwali. Pytanie teraz: co to byli za ludzie? Ilu ich było? Ilu ich jeszcze zostało?

— Dokument, odezwał się Harbert, wspomina tylko o jednym rozbitku.

— Więc jeśli dotąd znajduje się on na tej wyspie, niepodobna, abyśmy go nie odszukali!

Ruszono więc dalej w drogę. Marynarz z towarzyszami swoimi przerzynali oczywiście ukośnie wyspę i tem samem szli brzegiem strumienia, który pędził ku morzu.

Podczas gdy zwierzęta pochodzenia europejskiego i niektóre ślady ludzkiej pracy dowodziły bezsprzecznie, że był już kiedyś człowiek na tej wyspie, to nie mniej świadczyły o tem liczne okazy świata roślinnego. W różnych miejscach, po polanach położonych wśród boru, były znaki, że ziemia w dość oddalonym prawdopodobnie kresie czasu zasadzoną była roślinami warzywnemi.

To też nie małą była radość Harberta, gdy rozpoznał między niemi kartofle, cykorję, szczaw, marchew, kapustę, rzepę, których nasienie tylko trzeba było zebrać, by wzbogacić niemi wyspę Lincolna!

— Wybornie! wybornie! odparł Pencroff. Będzie miał co robić Nab i my także. Chociażbyśmy więc nie odszukali nawet rozbitka, wyprawa nasza nie będzie przynajmniej bezowocną, i Bóg nam ją odpłaci!

— Bez wątpienia, odparł Gedeon Spilett; ale widząc w jakim stanie znajdujemy te plantacje, powstaje obawa, że wysepka ta już oddawna przestała być zamieszkałą.

— W samej rzeczy, odparł Harbert, kto bądź by tu mieszkał, nie byłby zaniedbał tak ważnej uprawy!

— Tak jest, odezwał się Pencroff, nasz rozbitek odjechał!... Nie podobna sądzić inaczej...

— Więc musimy przypuścić, że dokument jest dawniejszej daty?

— Widocznie.

— I że butelka długo wpierw błąkała się po morzu, zanim dopłynęła do wyspy Lincolna?

— Czemu nie? odparł Pencroff. — Ale oto noc już zapada, sądzę że lepiej będzie zawiesić nasze poszukiwania.

— Wracajmy na pokład, a jutro rozpoczniemy na nowo, rzekł korespondent.

Była to rada ze wszech miar najmędrsza i już miano pójść za nią, gdy nagle Harbert, wskazując na jakąś dużą niewyraźną masę, majaczącą między drzewami, zawołał:

— Chałupa!

W tej chwili wszyscy trzej rzucili się ku wskazanej chałupie. W zmroku wieczornym można było tyle rozpoznać, że była zbudowaną z desek pokrytych grubem płótnem oblepionem smołą.

Pencroff potrącił wpół przymknięte drzwi i wszedł szybkim krokiem do środka.

Chałupa była pustą! (C. d. n.)

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ V.

Społeczeństwo nasze wychowuje największe sprzeczności, wyrastające jedne tuż obok drugich, jak rośliny w botanicznym ogrodzie. Las bywa przeważnie złożonym z drzew liściowych albo szpilkowych — dąb i sosna wykluczają się w nim niejako nawzajem, i tylko sztuczna hodowla może zmusić najrozmaitsze drzewa, krzewy i zioła do rozwijania się na jednej, niewielkiej przestrzeni. Taką sztuczną hodowlą jest cywilizacja nowoczesna—lasem było społeczeństwo pierwotne. To ostatnie, zdaniem poetów i wszelkiego rodzaju wielbicieli *temporis acti*, miało być lepszem, moralniejszem, ludzie szli w niem częściej za popędem uczucia, zdolniejszymi byli do poświęcenia się, mniej goniącymi za korzyścią materjalną. Wśród tego atoli szlachetnego samoposiewu rycerzy i pasterzy, cywilizacja zaszczepiła nowy rodzaj ludzi, pracą rąk i głowy dążących do zajęcia pośredniego stanowiska między rycerzami, a kmiotkami i pasterzami. Ten nowy „przebrzydły naród kupców i adwokatów,“ jak go nazwał Zygmunt Krasiński, ma być przedstawicielem materjalizmu i egoizmu bezwzględnego, zamiast duszy i serca, ożywia go kilka formułek matematycznych; zamiast odbierać wrażenia i powodować się niemi, on spostrzega, bada, i rozumuje. Jeżeli tak jest w istocie, nie czuję się powołanym bronić bezdusznego i bezsercowego kierunku „nowych ludzi,“ jeżeli tak nie jest, „trzeci stan“ nie dał mi mandatu, ażebym w jego imieniu odpierał niesłuszne zarzuty. Z powieścią moją nie ma to zresztą związku w tak ogólnem znaczeniu. Uwagi niniejsze odnoszą się tylko do jednego szczegółu, do jednej, dość ważnej sprawy ludzkiej, do tego mianowicie, jak się ludzie żenią.

Już patrjarchowie biblijni nie lekceważyli względu na ilość wielbłądów i trzód różnego rodzaju, będących w posiadaniu przyszłego ich teścia. Kobiety bez posagu wchodziły w ich dom lub pod ich namiot tylko jako niewolnice. Hagar z jednej a Rebekka, Lia i Rachel z drugiej strony są tego dowodem. W ten sam sposób, jak biblijni Hebrejczycy, zapatrywały się na małżeństwo i inne pierwotne społeczeństwa. Wszystkie najbardziej rozczulające skazki i poezje ludowe kulminują w tem, że ktoś ożenił się z królewną lub wyszedł za mąż za królewicza, a potem oboje żyli długo i byli szczęśliwi. Tradycje te przechowały się do dni naszych, i nikt bardziej nie krzywdzi dzisiejszych, cywilizowanych czasów, jak ten, kto im przypisuje wynalazek gonienia za posagiem, lub sprzedawania wdzięków i młodości za mamonę i stroje. Owszem, właśnie małżeństwo, w którem względy materjalne żadnej nie odgrywają roli, jest na wskroś nowoczesnym wynalazkiem. Jeszcze tylko w tych warstwach, które są zabytkami pierwotnego społecznego ustroju, przeważa wyobrażenie, iż małżeństwo powinno być połączone z ugruntowaniem lub polepszeniem bytu materjalnego. Ludzie pracy, do których nie należą ani średniowieczni rycerze, ani pasterze, pobierają się, aby pracować wspólnie. Wyjątki zdarzają się tu i tam, niemniej przeto pewną jest rzeczą, że tylko w pewnych sferach ożenienie się „poniżej stanu,“ t. j. bez zysku materjalnego, uchodzi za rzecz niemal hańbiącą, a tylko w pewnych innych sferach zdarzają się skrupuły, jakie miał Wacław.

Strawił on noc bezsenną rozważając to wszystko, co zaszło wczoraj, i co mu mówił proboszcz. Chwilami owładało go napowrót to słodkie uczucie, które mu nie pozwalało myśleć i rozumować — uczucie wywołane niespodzianem spotkaniem z Helenką. Nie widział, nie czuł nic, oprócz jej spojrzenia, które zdawało się mówić: kochaj mię, ufaj mi, nie odpychaj mnie! Ale wyrywał się z przemocą z pod władzy tego czaru, i wracał do dawnych, gorzkich myśli. Gorycz ta była po części dawniejszą, niż pierwsza znajomość z Helenką. Odkąd począł zastanawiać się nad sobą i nad swojem położeniem w świecie, przygniatała go myśl, że zawdzięcza wszystko dobrodziejstwom zacnego wprawdzie i dobrego ale zawsze obcego człowieka. Takie czuł upokorzenie z powodu swojego sieroctwa, tak mu ciężyła ta zawisłość, która mu się wydawała żebraczą, że dzieckiem jeszcze dokładał wszelkich starań, aby przynajmniej ile możności mało potrzebować dobrodziejstw. Nie było między rówieśnikami jego żadnego, któryby tak szanował odzież; — suknie, z których wyrastał, były prawie jak nowe, i proboszcz musiał gniewać się na serjo, nim go nakłonił do przyjęcia nowych, zastosowanych do jego wzrostu. Oprócz najniezbędniejszych książek i przyborów szkolnych, nie chciał nigdy przyznać się czego mu potrzeba — nieraz uczył się z książki pożyczonej na chwilę od kolegi, a mimo to robił celujące postępy w naukach. Ks. Chyżycki, który odgadł hardą naturę w swoim wychowanku, wyśledził to wkrótce, zburczał go i odtąd nie spuszczał się już na niego, ale wypytawszy profesorów, zaopatrywał go we wszystko. Później Wacław zaczął starać się o lekcje, i od tego czasu rozpoczęła się formalna walka między nim a księdzem, który utrzymywał, że obciążony pracą młodzieniec nie będzie miał dość czasu do poświęcenia się własnym studjom, podczas gdy Wacław robił coraz świetniejsze postępy i coraz więcej zarabiał na własne utrzymanie, tak, że w ostatnich latach obchodził się zupełnie bez pomocy proboszcza. Udzielanie lekcyj wprowadziło go w domy, w których mógł nabyć ogłady towarzyskiej, ale w których także dowiedział się, jak ludzie majętni zapatrują się na tych, którzy nic nie mają. Skorzystał z jednej i z drugiej nauki: obok znajomości świata, spotęgował w sobie to uczucie gorzkiej dumy, stanowiące główny rys jego charakteru. Uczucie to jak cień ścieliło się obecnie między nim a Helenką. Wiedział, że miała majątek. Nie znał jej pochodzenia, ale przypuszczał, że należała do rodziny, w której pod gładkiemi i grzecznemi pozorami ukrywać się mogły niewykorzenione przesądy, dotyczące stanowiska i mienia. Słyszał, że mogła być kiedyś dziedziczką Rymiszowa. W tym Rymiszowie najwybitniejszym „demokratą“ był p. Zamecki. Demokracja wszakże nie przeszkodziła p. Zameckiemu zrestaurować stary, średniowieczny zamek, i odświeżyć herby na bramie. Ks. Chyżycki dowodził wprawdzie, że był w tem tylko pewien pietyzm dla przeszłości, i objaw przytem artystycznego smaku — ale mogła być także duma szlachecka. Zamki, herby, liberje! Dziad Wacława bywał kozakiem w takim zamku, i nosił taką barwę! A on miał sięgać po rękę Helenki, i w ostatniej chwili dopiero dowiedzieć się, że to było zuchwalstwem z jego strony! Ona sama tak mogła przyjąć jego zabiegi — któż może wiedzieć, co się ukrywa na

dnie umysłu szesnastoletniej dziewczyny! Po latach, gdyby on sobie zdobył nawet stanowisko niezależne i szanowane, w niej obudzić się mogło poczucie różnicy towarzyskiej i społecznej, która ich dzieliła. Czy nie lepiej było zawczasu odepchnąć wszystkie nadzieje i złudzenia, uciec gdzieś daleko i zapomnieć?

Zapomnieć! A gdyby ją znowu spotkał przypadkiem, gdyby przystąpiła do niego jak wczoraj, z tem słodkiem na pół łzawem spojrzeniem, z dłonią wyciągniętą do serdecznego powitania? Czy podobna zapomnieć choćby to jedno spotkanie?

Tak to na przemian rozumował nasz bohater i dochodził zawsze do punktu, na którym rozumowanie nic już nie pomagało. Ktokolwiek kiedy staczał podobną walkę z sobą, ten wie, że kończy się ona zawsze rozpaczliwą jaką decyzją, dzięki której zarówno rozum jak i uczucie nasze ponoszą stanowczą klęskę. Wacław postanowił więc nie słuchać proboszcza, ale zerwać układ z p. Zameckim i wynosić się jak najprędzej i jak najdalej, w świat, za oczy. Ksiądz Chyżycki, odprawiwszy mszę bardzo rano, kazał go prosić na kawę.

— Nie spałeś w nocy, jak widzę, bo masz oczy zaczerwienione, rzekł proboszcz.

— Gorąco...

— A, to prawda! Zaledwie ósma godzina, a termometr wskazuje dwadzieścia sześć stopni. Nie pamiętam tak skwarnego lata. Nie dziwię się wcale, że Zamecki tak często dostaje teraz napadów swojej astmy. Sam ledwie oddycham, tak mi duszno. Uf!

Proboszcz był dobrej tuszy, i czerwony w twarzy. To oszczędziło mu przykrości, jakąby mu było sprawiło usłyszenie słów, które Wacław miał już na ustach. Chciał zawiadomić księdza natychmiast o swojem postanowieniu, ale na widok jego apoplektycznej miny odłożył to na później, wiedział bowiem, że go zmartwi.

— Ktoś musi być chorym w zamku, zauważył w tej chwili kucharz Jacenty, który często zwykł był wtrącać się do rozmowy, krzątając się po pokoju. Konie poszły po doktora, dodał.

— Tak wcześnie? Z pewnością ktoś zachorował! Daj mi Jacenty kapelusz i laskę, pójdę dowiedzieć się, co się stało. Nie turbuj się, mój Wacławie, wrócę zaraz i powiem ci, co się dowiem — zbladłeś jak ściana, mój chłopcze, napij się wody!

Ktoś zachorował w zamku! A w tym zamku znajdowała się — ona! Ona, od której chciał uciekać, którą chciał zapomnieć!

Obawy okazały się płonnemi. P. Zamecki miał wprawdzie rano bardzo silny atak astmy, połączony z chwilową nieprzytomnością, ale teraz było mu już całkiem dobrze. P. Zamecka skarżyła się na gwałtowną migrenę, ale i to nie było powodem, dla którego posłano po doktora. Właściwym powodem był nadzwyczajnie długi list, który posłaniec przywiózł z poczty, i który pomimo długości swojej pochodził od p. Skryptowicza, i cały pisany był jego ręką. P. Zamecki otrzymawszy go, poszedł do pokoju swojej żony, i zastał ją mocno cierpiącą.

— Zirytowałaś się wczoraj, moja duszo, i z tego powodu dostałaś tej nieznośnej migreny, powiedział. Przyczyniłem się i ja do tego, bo w istocie, pomimo tego, co ci mówił Zgorzelski, nie wiem dlaczego nie uwierzyłem z początku, by mama była tak mocno chorą. Niestety, jest tu list od Karola, który potwierdza nietylko to, co mi mówił o mamie, ale przedstawia całą rzecz jeszcze w gorszem świetle. Nie ma ani chwili do stracenia, musimy natychmiast jechać do miasta. Czytaj!

List brzmiał:

„Kochany Tadeuszu. Katastrofa, którą przewidywałem, nastąpiła. Ciotka Podwalska dostała pomięszania zmysłów na dobre, przez co zresztą bynajmniej nie chcę powiedzieć, by go nie miała oddawna. Z początku było to tylko egzaltacją uczuć religijnych, mojem zdaniem chorobliwą, ale nie przynoszącą przynajmniej innej szkody, oprócz materjalnej. Powoli zaczęła wszakże nie tylko oddawać na klasztory, kościoły wszystko co miała, ale także dziwaczyć w sposób skandaliczny. Uroiło jej się, że jest potępioną, że szatan opętał ją, a jej anioł stróż, którego nazywa świętym Zygmuntem, odstąpił od niej. Przeszłego tygodnia spotkawszy na ulicy moją żonę, opowiadała jej, że szatan wskoczył w nią w postaci ogromnej ropuchy, i że ks. Stodolski wypędził go święconą wodą. Zdaje się wszakże, że później musiał żałować święconej wody, bo szatan wrócił znowu, i choroba weszła w drugie stadyum. W tym stanie przestała zupełnie używać pokarmu i napoju, zaczęła targać suknie na sobie, i pleść niestworzone rzeczy. Między innemi powtarza ciągle, że własną córkę, nowonarodzoną, dała zjeść wilkom, i wczoraj zatrzymała na ulicy jednego z moich znajomych, prosząc, ażeby jej pokazał, gdzie jest sąd karny, zważywszy iż zamierza oddać się w ręce sprawiedliwości za zbrodnie które popełniła. Przyprowadzono ją do mnie, i tu dla odmiany, wpadła w zapał kaznodziejski, mieniąc się siostrą Matki Boskiej, posłaną na świat w celu nawracania grzeszników. Apostolstwo to skierowało się oczywiście w pierwszej linji ku mnie i ku mojej żonie. Byłoby to pół biedy jeszcze, ale na nieszczęście, dostała coś na kształt napadu epileptycznego, po którym wypocząwszy trochę, zaczęła na nowo skarżyć się, że jest w mocy złego ducha, że zabiła dziecko itd. To trwało dość długo; lekarz przywołany zastał ją wszakże w chwili gdy była spokojniejszą i zapewne dla tego nie ostrzegł nas, jakie mogą być dalsze następstwa. Dość, że przed chwilą zaledwie przeszkodziłem jej poderznąć sobie gardło nożem. Niechaj Helena decyduje się czemprędzej, co robić w tym wypadku, ja na własną odpowiedzialność nie odważę się ani oddawać jej matki do zakładu, ani też trzymać jej w domu. Oczekuję waszej decyzji. Karol." (C. d. n.)

Jubileusz Michała-Anioła

przez

Dr. Artura Wołyńskiego.

(Dokończenie).

Florencja d. 20. września 1875.

V.

Kończę moje długie sprawozdanie krótkiem wyliczeniem publikacyj, z jakiemi tu na uczczenie Michała Anioła wystąpiono. Następujący poeci rymami mniej więcej długiemi uwiecznili pamięć 400 rocznicy jego urodzin: Henryk Panzacchi, Guido Corsini, Marceli Fornani, James Lockart (po angielsku) Jan Pierotti, Hektor Marcucci, Juljusz Marchesi, Hildebrand Stroili i Lukury Zucchetti. Nierównie dłuższy jest szereg autorów prozą: Ascanio Condivi: Alcune opere di M. nelle Marche. (Niektóre dzieła M. A. w Marchji), Hektor Fattori: Michał Anioł i Dante; Jakób Barzellotti: L'animo di Michelangelo (Duch Mich. Anioła), Tomasz Bonara: Arco d' S. Domenico e Michelangelo; Emilja Bossi (modniarka florencka): Moda za czasów Mich. A., druga edycja: Esequie del Divino Michelangelo Buonarrotti str. 70, in 12 podług wydania z 1564 przez Giuntiego; prof. Albert Revel: La mente di Michelangelo (Umysł Mich. An.) Popularny życiorys Michała Anioła dość starannie opracowany, a wydany w Medjolanie przez Sonzogno pod tytułem: Michelangelo Buonarrotti, riccordo al Popolo italiano; Jan Magherini: Michał Anioł, (życiorys w bardzo pięknej edycji, Florencja 1875 str. 302 in 8[0]). Wszystkie te prace są bardzo pożyteczne, ale następujące dzieła wydane przez członków komitetu zostaną pomnikami literatury i sztuki drukarskiej:

1. „Vita di Michelangelo Buonarrotti narrata con l'iuto di nuovi documenti da Aurelio Gotti" (Życie Mich. An. Buon. opowiedziane podług nowych dokumentów przez Aureljusza Gotti, dyrektora Galerji florenckich) Florencja 1875, w 2 tomach in 8[0]. Pierwszy tom o 379 str. zawiera wyczerpujący życiorys Michała Anioła; drugi zaś o 291 zawiera same dokumenty, pomiędzy któremi jest kilka facsimile i rysunki kopuły św. Piotra. Jak opracowanie tego dzieła jest sumienne, naukowe i pięknym stylem, tak znowu jego edycja jest staranna i elegancka.

Nie sposób jest, abym tutaj starał się wyświecać błędy i niedokładności dotychczasowych bjografów Michała Anioła, bo potrzebowałbym znacznie rozszerzyć rzeczy niniejszego artykułu, dla tego ograniczę się na podaniu niektórych wiadomości o pracach tego niezrównanego artysty, jakie dotąd się przechowały, a których spis znajduje się w dziele p. Gotti.

Rzeźby: Florencja posiada ich 22 sztuk, z których 3 wątpliwe; Siena 5 statuy, Rzym 4 statuy jak Pieta, Chrystus, Kupido i Mojżesz z otoczeniem; Genua 2, Bolonja, Parma, Neapol i Piza (S. Janek) po jednej; Paryż 2, Brouges 1, Londyn 4 (dwie w marmurze, 1 terracotta i 1 w metalu) Petersburg 1 i Berlin 1 (wątpliwe). Razem znanych jest rzeźb 46, z których 37 jest w Italji*).

Obrazy i alfreski: w Rzymie 3 dzieła, to jest cała kaplica Sykstyńska i 2 obrazy; w kaplicy Paulińskiej we Florencji 3 obrazy (jeden wątpliwy), w Bolonji 1 obraz, w Belwederskiej galerji w Wiedniu 6 (na drzewie 4, na miedzi i kamieniu po 1, z tych jeden wątpliwy); w Londynie 3, w Madrycie 1. Razem 17 dzieł, z których 7 w Italji.

Budynki podług planów Michała Anioła znajdują się tylko w Italji: 5 w Rzymie, 2 we Florencji i 2 w Genui. Razem 9.

Szkice woskowe i gliniane: 23 we Florencji, z tych 5 jest prywatną własnością, 10 w Londynie. Razem 33.

Rysunki i szkice kredką, ołówkiem i piórem: Florencja posiada ich 256, z których 40 jest wątpliwych; Neapol 2 wielkie kartony; Francja 33, Weimar 24, Anglja 198. Razem 513, z tych 258 w Italji. Oprócz tego w muzeum Vica w Lille znajduje się książka o 184 kartach, które przepełnione są studjami architektonicznemi: kapiteli, kolumn, framug, świątyń, pałaców etc. jakie Michał Anioł robił w swej młodości, zwłaszcza gdy był w Rzymie w ostatnich latach XV, i w samym początku XVI stulecia.

2. Poezje Michała Anioła zebrane przez Cesara Guasti, a wydane u Le Monnier we Florencji 1875 r. str. 123 i 365 in 4[0]. We wstępie autor traktuje o różnych rękopisach, zbiorach, edycjach i tłumaczeniach poezji Buonarrottiego, a nadto podaje 3 prelekcje, (które są pierwocinami krytyki italskiej) o Michale Aniele jako poecie, miane w Akademji florenckiej w początkach XVII stulecia przez Benedykta Varchi i Marjana Guiducci. W samym tekście licznemi przypiskami i glossami opatrzonym, zebrane są wszystkie poezje, jak do nas doszły w całości lub w ułamkach. W zbiorze Guastego znajdujemy 55 epigramatu i napisy grobowe, 127 madrygałów (z których 25 nie zupełnych) 106 sonetów (między któremi znajdują się 29 tylko w ułamkach); 7 Capitoli, to jest poezyj trzywierszowych, 4 Stanze (to jest większe utwory o 8 wierszowych strofach); 4 Pieśni napisane 11 wierszowemi strofami. Razem całkowitych poezyj i ułamków z większych utworów posiadamy 401.

---

*) Obliczenia te i wszystkie następne są moje własne (Przyp. autora.)

Poezje Michała Anioła były tłumaczone: raz na język łaciński przez Antoniego Giganti w 1595 roku; 3 razy na angielski (Ryszard Duppa 1806, John Taglor 1852 i John Harford 1857); cztery razy na francuski (Varcollier 1826, Quatrieme de Quiney 1835, A. C. w 1845 i 7, i Lannau-Rolland w 1862), wreszcie pięć razy na niemiecki (Orelli 1810, Förster 1821, Regio 1842, Lang 1861 i Herman Grimm 1860—2.)

3. Listy Michała Anioła zebrane przez Kajetana Milanesi. Florencja 1875 str. 720 in 4⁰. Dzieło to ozdobnie drukowane na ręcznym papierze cylindrowanym, składa się z trzech części: pierwsza zawiera 495 listów (str. 1—560), druga tak zwane Riccordi, to jest notatki z lat 1505—1563 (str. 563—609), trzecia 58 kontraktów z lat 1498—1543 (str. 613—720). Listy dotyczą interesów familijnych i robót Michała Anioła; Zapiski obejmują przychody, wydatki, pieniądze wzięte à conto robót, różne wypłaty etc. Kontrakty przeważnie traktują o zakupnie marmuru, niektóre z nich o obstalunkach dawanych artyście.

W zbiorze listów Michała Anioła znajdujemy 45 pisanych do ojca, 78 do brata Buonarroto, 12 do brata Szymona, 206 do bratanka Leonarda i 154 do różnych osób. W tej ostatniej kategorji znajduje się 17 listów, które znamy tylko z pism Vasarego, a nie posiadamy ich oryginałów. Oryginały listów powyższych znajdują się 296 sztuk w muzeum Buonarroti, 162 w muzeum Brytańskiem, 6 w archiwum Państwa i tyleż w Bibljotece narodowej we Florencji, 1 w muzeum Berlińskiem, reszta u osób prywatnych to jest: Bustelli, posiada 2 listy, Palagi z Florencji 1, Pini 1, Young Ottley 1, Ashburhan 1. Razem Italja posiada 312 listów, Anglja 165 i Niemcy 1.

Riccordi. Przeważnie znajdują się w Brytańskiem muzeum, które posiada trzy zeszyty. Jeden z nich o 25 kartach obejmuje rachunki dotyczące pomnika Juljusza drugiego, dwa zaś inne o 26 i 42 kartach zawierają różne inne notatki, wypłaty, obstalunki, raty etc. Mała część tylko tych zapisków znajduje się w muzeum Buonarroti.

Kontrakta dotąd znane znajdują się tylko w Italji, mianowicie 27 w muzeum Buonarroti, 15 w tutejszem Archiwum Państwa, 9 w Archiwum Karary, 4 we florenckiej Bibljotece narodowej, wreszcie Massa, Siena i Watykan posiadają po jednym egzemplarzu. Razem 58 kontraktów.

4. „La Bibliografia di Michelangelo Buonarroti e gli incisioni delle sue opere“ (Bibljografja M. A. i staloryty jego dzieł) przez hr. Ludwika Passerini, Dyrektora Bibljoteki narodowej. Florencja 1875. Drukarnia Cellini str. 329 in 8⁰.

Jak sam tytuł wskazuje, dzieło to jest alfabetycznym spisem autorów i artystów, którzy piórem, pędzlem, dłutem lub rylcem ilustrowali życie i dzieła Michała Anioła. Według mego obliczenia dotąd 405 autorów pisało o Buonarrotim i jego dziełach. W liczbie tej znajduje się tylko jeden Polak hr. Raczyński: Les arts en Portugal. Paris 1846. Następnie 202 malarzy przedstawiło różne epizody życia Michała Anioła, lub też pędzlem oddało jego kompozycje ołówkiem lub kredką naszkicowane, rzeźbiarzy zaś, co w swym zawodzie toż samo zrobili było tylko 39. W końcu dodam, iż 32 rysowników ilustrowało i reprodukowało jego dzieła architektoniczne, a 35 sztycharzy robiło jego portret.

5. Smorti wydał litograficzne album rysunków M. A. znajdujących się w tutejszych galerjach, a Gori wybił jego medal na pamiątkę 400 rocznicy urodzin. Tenże sam artysta robił medal Danta w 1866 roku.

Dr. *Artur Wołyński.*

Listy z Krakowa.

Kraków d. 26. listopada.

Gdybym wiedział, jak wypadł traktat redaktorów krakowskich i jednej niedowarzonej lionki z Don Carlosem, to bym wam mógł zaiste coś ciekawego donieść, lub przynajmniej opisać czego się Polska z aljansu z Hiszpanją spodziewać może; tymczasem jednak nic nie wiem, jak tylko to, że poselstwo miało miejsce, że Don Carlos był zachwycony reprezentantami naszego piśmiennictwa, lecz czy ostatecznie z tego wojna czy pokój wypadnie, nescimus. Poselstwo to w każdym razie musimy zawdzięczyć podróżom letnim naszych literatów, rozumie się, głównych mecenasów, którzy nie jak inni szukają wypoczynku lub rozrywki, lecz daleko więcej, bo pożytek łącząc z przyjemnością, podróżują po Hiszpanji, zawierając przymierza, zwidzając dwory i obozy monarchów. O wiele korzystniejszą od podróży p. Skrochowskiego, była podróż hr. Stanisława Tarnowskiego do Moskwy, z której listy pisane do p. Koźmiana podziwiamy w ostatnim zeszycie *Przeglądu*. Że p. Tarnowski doskonale włada piórem, że stylem pięknym zachwyca, jeżeli tylko nie opisuje Porcyj, ani nie krytykuje Wiktora Hugo, to każdy z pewnością przyzna. Listy z Moskwy są bardzo piękne, przyjemne do czytania szczególnie dla każdego Polaka, który lubi przenosić się myślą do szczęśliwszej przeszłości, lubi o niej słuchać i czytać, jakkolwiek z goryczą. Pan Tarnowski opisuje swój kilkudniowy pobyt w Moskwie: opisuje nam jej powierzchowność, życie, rzeczy godne widzenia, cerkwie i Kremlin, hotele i teatry. Lecz nie ten opis, choćby najpiękniejszym stylem jest zaletą tych listów, ale stanowisko z jakiego autor je pisze, stanowisko prawe i prawdziwego Polaka, z którego każdy z nas będąc w Moskwie wszystkiemu by się przypatrywał.

Zastanawia się autor nad każdą rzeczą, co Polskę przypomina, czy to naszą przeszłość lub teraźniejszość, szuka tego, o czem słyszał, że z naszą ojczyzną jest związane, tej laski Iwana, konstytucji okutej w łańcuchach, tronu ostatniego króla. Cytuje nam wszystko co tylko w tym bogatym Kremlinie polskiego znalazł, od pieczęci do obrazów Bacciarellego itd. Nie tu miejsce na szczegółowe zastanowienie się nad temi listami, które szczerze każdemu czytać zalecamy, obiecując mu, że się nie znudzi, ale owszem nie tylko z zajęciem lecz przyjemnością i współczuciem czytać będzie. *Przegląd* ten, w którym znajdują się te listy, uległ konfiskacie dla zapisków ornitologicznych p. Wodzickiego. Ktoby to powiedział, ktoby przypuścił, że ptaki tak ważną w monarchji austrjackiej odgrywają rolę! tak niebezpieczną, że o nich otwarcie nie można mówić! że opisywać, jak się bawią, jak karmią swe młode i szukają pokarmu, jest rzeczą zdrożną! *Przegląd polski* po kilku dniach dostał się w ręce publiczności z kilkoma wyrwanemi kartkami, które miały zawierać jakieś alluzje polityczne... Znamy wszyscy zapiski p. Wodzickiego, jak pięknie są pisane, ze znajomością nie tylko ptaków lecz i ludzi. Jeżeli każdego czytającego zajmują opisy sposobu życia ptaków, to stokroć razy bardziej te uwagi, od których się autor powstrzymać nie może, te alluzje nie polityczne ale psychologiczne. Gdzie może, to występuje autor przeciwko ludziom, jakby im wykazując, że może niżej stoją od ptaków; występuje przeciw ich chciwości, dumie, która sprowadza degenerację, przewraca społeczeństwo, i tylu złego jest powodem. *A propos* związków familijnych ptasich, występuje przeciw nieuczciwemu kojarzeniu małżeństw, jak mówi autor „dla zlania ogromnych fortun lub połączenia mitry z koroną,“ z czego później rodzą się istoty chore, będące raczej ciężarem niż pożytkiem dla kraju. Jednem słowem ostatni numer *Przeglądu* zasługuje na przeczytanie; po części zawdzięczamy to podróży hr. Tarnowskiego, teraz czekamy, co nam powie p. Skrochowski. Skoro już mówię o literaturze, to trzeba wyczerpać tę materję do dna, co u nas w Krakowie nie jest rzeczą trudną. Z nowych książek nic się nie pojawiło ważniejszego; wyszły tylko wśród okropnej iwazji odbitek *Żyd* Asnyka, *Talmud i Żydzi* nakładem p. Dygasińskiego, a w tych dniach pojawi się nowy utwór nakładem tejże księgarni *Europa i Ameryka* p. Buszczyńskiego. *Przegląd krytyczny* nie wyszedł, to jest opóźnił się tym razem trochę zanadto, *Czas* wychodzi bardzo regularnie, a *Szkice* myślą od Nowego roku powiększyć swoje rozmiary, co z prawdziwą przyjemnością notujemy. Co się zaś tyczy nowego pisma w Krakowie, mającego zastąpić *Kroniczkę*, to jak słyszymy, myśl ta nie upada, owszem odbywają się nad tem narady.

Co do teatru, to stanowczo można powiedzieć, że nie upada, owszem, że się podnosi i wydoskonala, zważywszy jak nędznym był jego skład przeszłego roku. Z nowych sztuk dano w tych dniach komedję p. Kaźmierza Zalewskiego *Przed ślubem*, komedję tak chwaloną, którą fama poprzedziła, ta fama nie zawsze sprawiedliwa i zasłużona. Tym razem nie można powiedzieć, żeby była nie zasłużoną, lecz niezaprzeczenie była za wielką, za głośną, co spowodowało, że wszyscy więcej się spodziewali, niż ujrzeli, więcej zamierzali chwalić, niż potem mogli, większej spodziewali się umysłowej biesiady. W każdym razie komedja ta zawsze będzie zaliczoną do lepszych utworów polskich. Wszyscy artyści grali doskonale, oprócz pana Sobiesława, który zawsze jest sztywny; za to w panu Podwyszyńskim coraz to nowe upatrujemy zalety. W roli Nowowiejskiego był on niezrównanym, pan Morozowicz w roli Muszkata znakomitym; w mowie, chodzie, manierach, przedstawiał najwyborniej niedoszłego artystę, który się prawie za takiego nie uważa, znudzonego, ciekawego, na wszystko zresztą obojętnego, typ doskonały, oryginalny i tak często widywany.

Grano tu także znaną „Księżniczkę Trebizundy“, bardzo rozśmieszającą, do czego głównie przyczynia się p. Wojdałowicz, ogromne robiący postępy; wchodząc na scenę pobudza publiczność do śmiechu. Do teatru krakowskiego najlepiej się kwalifikują dobre komedje, mniejszego wymagające personalu i mniejszej wystawy.

W. L.

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Zatruty napój.

Pewnego dnia o 3 godzinie po południu zjawił się szejk Matonse z krajowacami niosącymi pięć dużych dzbanów merissy z pisangów.*) Było to poselstwo Kabba Regi, który się tłumaczył brakiem zboża w Masindi, ale obiecywał na jutro znaczny zapas; tymczasem prosił bym przyjął merissę dla moich żołnierzy. Dar przyjąłem, ale nie byłem jeszcze po objedzie, gdy wpadł pułkownik Abd-el-Kader, blady i zmięszany, donosząc mi, że wielu z ludzi po wypiciu merissy jest umierających. On sam wychyliwszy kufelek, czuł już skutki trucizny. Pobiegłem natychmiast po moją podręczną apteczkę, a dopadłszy na miejsce, znalazłem ludzi w okropnym stanie; kilku leżało bez czucia, a blisko trzydzieStu cierpiało najstraszniejsze męki. Spazmatyczne ściśnienie gardła zapierało im oddech, a kurcze i bole miotały nimi odejmując władzę w nogach. Szczęściem wszystko było pod ręką i roztwierając usta, wlewałem omdlałym łyżeczką autydotum. W dziesięć minut powtórzyłem dozę, dając im przy tem pić rozpuszczoną w wodzie musztardę z solą. Skutek był bardzo dobry, wszyscy zaczęli wracać do przytomności.

Nazajutrz o 2ej godzinie z rana wszczęła się ogromna wrzawa między ptactwem domowem, jak gdyby je łapano, a o 3ej krowy Kabba Regi zaczęły ryczeć, widocznie przeganiane w inne miejsce. Ledwie zaczęło świtać udałem się do chorych. Emetyk zniweczył skutki trucizny i moi pacjenci chociaż osłabieni wszyscy byli ocaleni.

O godzinie 6tej wyszedłem na przechadzkę, jak według zwyczaju; za mną postępowali sierżant i trębacz; nic nie zdawało się zdradzać wojennych zamiarów krajowców. Nagle od strony

*) *Pisang*, owoc zbliżony do kokosa; murzyni wyrabiają zeń napój podobny do jabł[illegible]

domu szejka Matonse rozległ się przeraźliwy wrzask jakich kilkuset ludzi. Prawie jednocześnie, padły dwa strzały.

Zaledwie wydałem stosowne rozkazy, gdy ukryci w krzakach krajowcy przywitali mnie gęstemi strzałami; białe moje ubranie było dla nich wyśmienitym celem, i wkrótce sierżant co szedł tuż przy mnie padł trafiony w samo serce.

W czasie tym żołnierze powbiegali na wał forteczny, ale zaraz jeden z nich stoczył się przestrzelony przez plecy, a jeden z pułku „Czterdziestu“ otrzymał ranę w nogę. Mały mój zastęp zformowamy w porządku bronił stacji i gęstym ogniem raził krajowców, którzy jak czarne mrówki roili się wśród okalającej nas wysokiej trawy. Ja z szesnastoma ludźmi z pułku, „Cztezdziestu,“ porucznikiem Baker i pułkownikiem Abd-el-Kader, utrzymywaliśmy nieustający ogień i wkrótce krajowcy poczęli się cofać. Wtedy kazałem podać pochodnie, i dwaj moi chłopcy z kilkoma żołnierzami, posunęli się naprzód rzucając ogień na dach słomiany najbliższego domu Kabba Regi, i tak biegnąc od chaty do chaty w niewielu minutach podpalili część miasta. Wzniosły się kolumny ognistego dymu, pędzone wiatrem, i powstał głuchy szum, przerywany rotowym ogniem karabinów; po prawej i po lewej stronie wrzała walka; zebrawszy kilkunastu ludzi i z pułkownikiem Abd-el-Kader ruszyliśmy wprost ku królewskim zabudowaniom. W jednej chwili słomiane budynki, podpalone na wszystkich rogach buchnęły ogniem, i dwór królewski zamienił się w ognistą kolumnę, co wznosząc się na 80 stóp w górę rozlewała się szeroką wstęgą. Kabba Rega umknął wcześnie, unosząc swój czarowny tron i święty bęben. Nieprzyjaciel cofał się, a my nacierali zbliska nieszczędząc strzałów, które obfitym plonem zaścielały ziemię. „Pochodnie coraz dalej niosły dzieło zemsty, gęste kłęby dymu wzbijały się w niebo, a krzyki dzikich, odgłos strzałów i głuchy trzask ognia, zmięszane w jedną niepojętą wrzawę, zapanowały nad płonącem miastem.

W godzinę bitwa była wygrana; ani jeden dom nie pozostał z rozległego miasta, a otwarta płaszczyzna, szarzejąca dymem, po której igrały lekkie płomyki bawiące się szczątkami zabudowań, lub gdzie nie gdzie niedopalony szkielet wiązanego dachu, było jedyną pozostałością stolicy Unyoro.

Na murawie, tuż koło wału fortecznego leżały rzędem cztery ciała przykryte; zbliżyłem się do nich; jeden z żołnierzy odsłonił twarze, i oczy moje spoczęły na bladych rysach mojego wiernego Monsora. Wyraz rozpaczy wypiętnował się na jego licach, — biedak walczył ze śmiercią — chwyciłem go za puls — ale nie było już żadnej nadziei. Uścisnąwszy ostatni raz rękę wiernego przyjaciela, puściłem ramię które bezwładnie opadło. Ciało jego było przeszyte 32 pchnięciami; bił się walecznie, i poległ jak przystało na dobrego żołnierza.

Widząc że bawiąc dłużej w tych stronach, mógłbym narazić cały oddział na niechybną zgubę, postanowiłem przerżnąć się co prędzej do Fowera.

XII.

Przyjęcie przez Rionga.

Po niesłychanych przejściach, napadani codzień przez krajowców, którzy urządzali zasadzki, stanęliśmy nareszcie w Fowera. Tu ujrzałem po drugiej stronie Nilu kilku krajowców, przypatrujących się ciekawie naszemu obozowaniu. Okolica tymczasem, zdawała się całkiem odludna.

Przed nami toczył się Wiktorja Nil w tej porze roku na 600 łokci szeroki, tworząc dość imponujący widok, którego piękności nie byliśmy wstanie ocenić, gdyż nam przysporzył nie mało kłopotu podczas przeprawy. Na jednej z wycieczek, któreśmy urządzili za pożywieniem, udało się moim ludziom złapać krajowca. Wypadek chciał, że był to właśnie mój dawny przewodnik, który za pierwszą moją podróżą prowadził mię do króla Kamrasi. Ujrzawszy nas, ucieszył się bardzo, a uspokoiwszy się, rozpoczął opowiadanie o stosunkach kraju, do któregośmy przyszli.

Co dzień prawie padały deszcze, i po jednej nocnej ulewie, d. 1. lipca ozwał się z trawy głos wołający po arabsku na stojącą wartę: „Nie strzelaj! Jestem posłańcem od Rionga“ — i zmokłego krajowca przyprowadzili do mnie. Przebył on nocą Nil, ale bojąc się po ciemku zbliżać do nas, przeczekał w trawie aż do rana. Kiedym zspewnił go o mojej życzliwości i pokojowych zamiarach, zawiadomił nas, że synowiec Rionga znajduje się tu, i czeka w zaroślach na moją odpowiedź, poczem pobiegł przyprowadzić go do mnie. Obaj mówili doskonale po arabsku; mogłem więc opowiedzieć im w krótkości wszystkie intrygi Kabba Regi, i moją stanowczą odmowę złączenia się z nim w napadzie na Rionga, która to odmowa spowodowała całe zajście. Oznajmiłem im wreszcie, żem postanowił odjąć władzę Kabbie Rega, i oddać ją Riongowi, robiąc go reprezentantem rządu egipskiego, jeżeli przysięgnie wierność wice-królowi. Wybrawszy następnie podarunki dla Rionga, wręczyłem je posłańcom.

W kilka dni Rionga przysłał po nas dziewięć łodzi, na których odpłynęliśmy 16. lipca, podczas gdy reszta wojska przerzynała się brzegiem Nilu. Po niedługiej żegludze, wylądowaliśmy na brzeg lasu, naprzeciw wyspy zamieszkałej przez Rionga. Okolica była dzika, zarosła trawami. We dwa dni po naszem przybyciu, trąby i bębny oznajmiły nam wizytę Rionga; nastąpiła zwykła formalność wręczenia darów, poczem przedstawił nam się w swojej osobie sam wielki władca.

Za pierwszem wejrzeniem, zostałem ujęty jego powierzchownością. Rionga mógł mieć lat pięćdziesiąt, był swobodny w obejściu i wyrażał się płynnie, dziękując mi na samym wstępie za dary, które mu przez posłów wręczyłem. Rozmowa zawiązała się z wielką łatwością. Rionga był dokładnie obznajmiony z całym stanem rzeczy i intrygami Kabba Regi. Liczni jego szpiegi donosili mu wszystko; twierdził on, że Abou Saood ukartował był z Kabba Regą plan zniszczenia mego oddziału. Z wielkiem wylaniem dziękował mi następnie, żem przeszkodził złączeniu się kompanji Sulejmana z wojskiem Kabba Regi, co by spowodowało może jego zniszczenie. Wreszcie oświadczył mi gotowość przyłączenia się do rządu egipskiego, i zostania reprezentantem władzy wice-króla, ale wpierw musieliśmy dokonać niezbędnej ceremonji z a m i a n y k r w i, bez której ludzie jego nie usłuchaliby żadnego wezwania.

— Gdy zaś krajowcy — twierdził Rionga — jakoteż mieszkańcy Langgos i Umiros usłyszą, żeśmy zamienili krew z Paszą, będą pokładać wiarę w sprawie, do której z całą szczerością obadwa przystępujemy.

Uświęcenie tego paktu przyjaźni, oryginalnego w swym rodzaju, i wcale niepowabnego dla nas Europejczyków, miało się odbyć na drugi dzień. Zacząwszy od wieczora, mieliśmy się doń stosownie przygotowywać. Przygotowanie polegało na piciu merissy, ale nie takiej, jaką was obdarzył Kabba Rega — zawołał Rionga — ale merissy jaką się gości dobrego przyjaciela.“ Rano miałem do chwili, w której słońce na pewnym stanie punkcie, czekać naczczo wezwania Riongą do zamienienia z nim krwi, a pułkownik Abd-el Kader i porucznik Baker byli wezwani powtórzyć zajmujący obrzęd z jego ministrami i synem.

Dzbany pełne napoju, postawili przed nami, i noc cała przeszła na śpiewach i tańcach. O godzinie 9ej rano stawił się Rionga i zaprosił mnie razem z porucznikiem Baker i pułkownikiem Abd-el Kader do swego namiotu, gdzie już znakomitsi krajowcy czekali na nasze przybycie. Nadeszła chwila dopełnienia obrzędu. Dobywszy lancet, zrobiłem sobie u lewej ręki małe nacięcie; Rionga z chciwością wyssał wypływające krople krwi, i wyciągnął ramię, ażebym na niem dokonał miłej ceremonji. Starałem się jak najmniejsze zrobić ukłucie, by tylko jedna kropla wypłynęła; dla mnie było to aż nadto wystarczającem... Odtąd byliśmy już prawdziwymi przyjaciołmi, i żadne intrygi ani podstępy nie mogły się wkraść w nasze stosunki. Gdyśmy wyszli z namiotu, śpiewak krajowy niby średniowieczny trubadur, przy akompanjamencie instrumentu, zbliżonego do harfy, wzniósł pieśń pochwalną na cześć moją i Rionga, obrzucając wszystkiemi przekleństwami Kabba Regę i lud jego. Dałem mu garść paciorków; uszczęśliwiony śpiewak poszedł dalej roznosić naszą sławę, a nieprzyjaciół naszych hańbę.

Przedstawiono mi dwóch wielkich szejków, z Langgos i Umiros; jeden z nich, Okolo, sławny wojownik, stanął przedemną w całej okazałości. Naga jego postać była upstrzona licznemi znamionami tatuowań, które miały oznaczać liczbę ofiar, zgładzonych dzielnością jego ramienia. Projekt napadu na Kabba Regę przypadł ogromnie do smaku staremu wojownikowi.

Punkta ugody prędko zostały omówione. Riongę ogłosiłem natychmiast reprezentantem rządu egipskiego, i władcą Unyoro na miejsce Kabba Regi. Głośne okrzyki radości powitały wyniesienie Rionga; był on bardzo lubiany przez krajowców jako człowiek prawy i dzielny, walczący całe życie przeciwko podstępom króla Kamrasi, i jego godnego syna. Dzień odwetu przyszedł nareszcie dla niego.

Rozpoczęcie kroków wojennych, miało nastąpić z końcem listopada, po spaleniu traw.

Rionga dostarczył nam 50 tragarzy; pozostawiwszy pułkownikowi Abd-el Kader, który miał wspierać operacje Riongi cały zapas paciorków, wsiedliśmy do łodzi żegnając się serdecznie z królem, i pozostającym oddziałem.

XIII.

Polowania na równinach Fatiko.

Po zniesieniu kilku kompanij handlarskich, zatrzymałem się dłużej w Fatiko.

Od Rionga, który w mym obozie był reprezentowany przez jednego ze swoich szejków, miałem częste wiadomości. Wyprawa na Kabba Regę zupełnie się powiodła. Ali Geninar z Riongą i plemieniem Langgo, pobili jego wojsko, a król zmuszony uciekać, ukrywał się w Chibero

nad brzegami Albert-Nyanza. Król Mtese usłyszawszy o zdradzie Kabba Regi i napadzie na nas, wkroczył od południa, i wysłał armję liczącą 6,000 ludzi pod moje wyłączne rozporządzenie. Tak Kabba Rega odbierał słuszną karę za swoje podstępne postępowanie.

Fort w Fatiko, rozpoczęty z końcem sierpnia, był już 25. grudnia wykończony, a wewnętrzna organizacja dokonana. Nastała pora polowania. Suche trawy czekały tylko spalenia, i ludność cała gotowała się na tę wielką wyprawę, która miała dostarczyć upragnionego mięsa, i odzienia dla całego plemienia Schuli. Można z tego sądzić jak wielka ilość zwierzyny pada rok rocznie w tych stronach, kiedy każdy mężczyzna nosi przyzwoicie przewieszoną przez jedno ramię skórę antylopy.

Rozległe przestrzenie odgraniczające Fatiko od Unyoro, które są areną łowów okolicznych mieszkańców, mimo pozornego opuszczenia, mają swoich posiadaczy, i każda część tych niezmierzonych równin należy do osobnego właściciela, który prawo polowania w spadku po ojcu odziedzicza.

To prawo własności, przechowało się od lat niepamiętnych i jest dowodem, że nawet w najpierwotniejszej organizacji społecznej nie ma bezwzględnej równości. Odwagą, rozumem, lub sprytem odznaczające się jednostki, zdobywają sobie przewagę w plemionach; za tem idzie dobrobyt materjalny, i oględne szanowanie zdobyczy, którą niebaczny roztrwoni. Zdobycze takie przemieniają się z biegiem lat w prawne posiadanie, i z ojca na najstarszego syna spadają. Ten ktoby ważył się podpalić trawę należącą do innego, zostaje opinią publiczną wykluczony ze społeczeństwa, tak jak w cywilizowanym świecie złodziej zostałby wykluczony z grona porządnych ludzi. W ogólnych łowach, kto pierwszy rani zwierza, nabywa tem prawa do jednej części mięsa, a kto go zabije, zostaje w posiadaniu zwierza. Myśliwstwo w całej okolicy Schuli jest traktowane z zamiłowaniem i ze znajomością rzeczy; kierownictwo zaś i organizacja polowań są niezrównane, a prawa na wszystko ustalone.

Wielki bęben nogara zwołuje natenczas szejków, poczem zbiera się walna narada, aby obrać tego, na którego terytorjum ma się odbyć polowanie. Wieść prędko się rozchodzi; ze wszystkich wsi zbierają się krajowcy w pełnym stroju, ze strusiemi piórami i skórą lamparcią przewieszoną przez plecy.

Gospodarz polowania podług możności przyjmuje swoich gości; wypijają wiele merissy zjadając przy tem dwa lub trzy woły. Czarnoksiężniki odgrywają w takich okazjach wielką rolę, gdyż różnemi znakami zażegnywają złe uroki, zabezpieczając myśliwych od szponów dzikich zwierząt, lub dając im siłę przyciągającą zwierza w ich sieci.

Nadszedł i dla nas dzień polowania; przed 5. godziną zrana wyjechałem na moim jedynym koniu w towarzystwie porucznika Bakera, pułkownika Abd el-Kadera, kilku żołnierzy z pułku „Czterdziestu,“ i dwóch moich chłopaków, niosących strzelby zapasowe. Gimoro i Schuli dawni moi przyjaciele połączyli się znami, i minąwszy skalistą terasę panującą nad Fatiko, spuściliśmy się w dolinę, roztaczającą się niby park wspaniały. Przeszedłszy czysty strumień, sączący się w głębokim skalistym wąwozie, i wydrapawszy się na drugi brzeg, spuszczaliśmy się łagodną spadzistością ku zachodowi. W tem miejcu złączyli się z nami krajowcy. Przeszło tysiąc ludzi szło na tę wyprawę; mężczyźni nieśli sieci i dzidy, chłopcy lżejszą broń, a malutkie chłopaczki z ledziutkiemi dzidami, starannie wyostrzonemi na tę wielką okazję, zdążali za starszymi. Kobiety w wielkiej liczbie towarzyszyły mężom. W takie dni wsie są prawie całkiem puste, bo nawet niemowlęta przewieszone przez plecy matek, w swoich skorupach z dyń, biorą udział w polowaniu. To też śmiało można powiedzieć, że ludzie plemienia Schuli rodzą się myśliwymi.

W ciągu naszego pochodu, coraz więcej łączyło się znami krajowców, i chociaż tłum wzrastał bezustannie, żaden gwar nie mącił cichego porządku w jakim szliśmy na tę wyprawę. Za rzeką Un-y-Ame, zaczyna się dopiero właściwa okolica obfitująca w zwierza. Niezmierzone okiem łąki kołysały się przed nami, przerzynane częstemi strumieniami, które dążyły do wspólnego zbiornika rzeki Un-y-Ame. Zwracając się ku lewej stronie weszliśmy na grunt po świeżo spalonej trawie, na którym wyrastał w wielu miejscach czerwony owoc wielkości gęsiego jaja, z łupiną dość twardą, okrywającą przezroczystą mięśnię kwaskowatego smaku o zapachu nadzwyczaj przyjemnym, który przypominał skórkę cytrynową. Soczystość owocu robi go bardzo orzeźwiającym, i jest on niezaprzeczalnie najlepszym z dzikich owoców środkowej Afryki. Krajowcy zrobili zeń zapas, poczem ruszyliśmy dalej do miejsca zebrania, gdzieśmy zastali wielkie zgromadzenie ludu. Wzięto się zaraz do założenia sieci, i na przestrzeni półtorej mili stanęła zapora czekając na zwierzynę. Każdy posiadacz sieci długości do 15 łokci, przytwierdzał swoją do sąsiedniej liną, i podpierał silnie kołami z bambusu, przyczem z tyłu i z przodu przy każdej takiej sieci stali ukryci w trawie związanej w górze niby kopica, jeden lub dwaj myśliwi. O jakie kilkanaście kroków przed sieciami, wycięto szeroką drogę dla wstrzymania ognia.

Podług praw myśliwskich wszystka zwierzyna zabita w granicach jednej sieci należy do jej właściciela, a posiadacz gruntu, na którym odbywa się polowanie, dostaje po ćwiartce z każdego pośladka. (D. n.)

POGADANKI.

XLVIII.

Koniec bieżącego miesiąca zapełniają uroczystości narodowe, towarzyskie i rodzinne, z których jedne podnoszą ducha do poważnego i wzniosłego nastroju, a inne urozmaicają przynajmniej jednostajność powszedniego życia i powszedniej słoty.

Od dawna, młodzież akademicka, wierna chwalebnie przyjętemu obyczajowi, obchodzi 26 listopada rocznicę zgonu Adama Mickiewicza. Obchód ten odświeża w umysłach ogółu cześć dla największego wieszcza narodowego, a obok tego, daje sposobność objawienia się młodym talentom literackim, muzykalnym i deklamatorskim. Udział zaproszonej publiczności bywa zawsze bardzo liczny; spodziewam się, że i tym razem *Tydzień* zdając sprawę z uroczystości, będzie miał sposobność skonstatować to samo.

Właściwszem może zdawałoby się, zwłaszcza komu obcemu, gdyby obchodzono rocznicę urodzin a nie śmierci, tam gdzie chodzi o cześć nie nieśmiertelnego imienia. Mickiewicz nie umarł dla nas, żyje on i żyć będzie wiecznie. Jeżeli wszakże mimo to święcimy smutną pamiątkę jego zgonu, dzieje się to nie bez przyczyny. Oto, w trzy dni później, przypada inna rocznica, którą nie zawsze możemy obchodzić publicznie. Ażeby więc i w trudniejszych warunkach koniec listopada nie przeminął bez obchodu, łączącego żywszem biciem wszystkie serca polskie, przeniesiono na ten czas uroczystość mickiewiczowską, co jej nie mało dodaje znaczenia. Z pojęciem śmierci łączy się tu pojęcie zmartwychwstania, z nieśmiertelnością wielkiego imienia, nieśmiertelność wielkiej idei.

* * *

Nim Adwent słowami proroka każe nam modlić się o rosę, z którą ma zejść na ziemię mąż sprawiedliwy, zwyczaj wymaga, ażeby sprawiedliwi i niesprawiedliwi pożegnali ostatni tydzień „po świątkach“ wesołemi pląsami. Jest to niejako apel popisowych, poprzedzający kampanję zapustną: wszystko winno stawić się do niego, linja, rezerwa i landwera. Tym razem, nowo zawiązane towarzystwo: „Harmonja“ podjęło się zgromadzić pod sztandar Terpsychory hufce, na które liczyć może, gdy Trzej Królowie dadzą hasło do rozpoczęcia akcji na serjo. Nie wiem jeszcze, jak wypadła ta mobilizacja na próbę — ponieważ atoli mieliśmy gołoledź w dzień Św. Katarzyny, więc zapewne nie jednemu przyszło na myśl potańczyć trochę. Dla zapobieżenia wszelkim nieporozumieniom pospieszam dodać, że nie odnosi się to bynajmniej do niemieckiego przysłowia o tańczeniu na lodzie, ale że uwaga ta nasunęła mi się jedynie ze względu na znaną użyteczność ruchu podczas zimna.

Bądź co bądź, prognostyki co do przyszłego karnawału nie są najlepsze. Stagnacja w handlu zbożowym taka, że mociumpanie, czego nigdy nie bywało, szlachta wspólnie z żydami i profesarami jęła radzić nad sposobami zaradzenia złemu, i uradzono już nawet, że dobrzeby było, gdyby kto zmiłował się nad nami i wymurował duży skład na dworcu kolei Karola Ludwika na to zboże, którego nie mamy na sprzedaż, według zapewnienia jednych, a które pojawi się nie wątpliwie, jak tylko będziemy mieli magazyn, według zapewnienia drugich. Utyskiwania te, przyjemnie urozmaicone skargami na to, że ziemniaki po największej części przepadły, bo wczesne mrozy nie dały ich wykopać, i że szęśliwie a wcześnie wykopane potrzeba sprzedawać za bezcen — wszystkie te, mówię żale, dołączone do odwiecznych stałych narzekań na złe czasy, nie wróżą nam hucznych i świetnych zapust. Jakim sposobem, wobec tego, powydajemy za mąż te panny, którym stuletni kalendarz Knauera naznacza rok 1876 jako ostatni termin takiej zmiany stanu — na to pytanie, niechaj święty Jędrzej odpowie. Radzę przygotować na wtorek wielki zapas wosku, ołowiu, placków i innych przyborów czarodziejskich, chociaż za skuteczność ich ręczyć nie mogę. O panno Eufrozyno, nie prawdaż jak błogim był czas, w którym najbardziej dla nas interesującym świętym, był święty Mikołaj z orzechami, jabłkami i piernikami?! I nie zawodził nas nigdy, jak ten niedobry Jędrzej Apostoł, który ponoś już od szesnastu lat... Ale dajmy pokój tej smutnej materji!

* * *

Muszę przecież przekonać szanownego czytelnika, że „Haliczanin wraz z Noworocznikiem Szczutka“ nie był jedynym materjałem, który mi posłużył do napisania niniejszej pogadanki. Kalendarz ma każdy w domu, i nie potrzebuje dziennika, by mu przypominał daty, i „konstatował,“ że w roku przypadają na ten sam dzień w miesiącu. *A propos*, poco „konstatować,“ z łacińska, skoro można „sprawdzić,“ albo „stwierdzić,“ czysto po polsku?

Na to, ażeby można pójść na śniadanie.

W pewnym zakładzie, urzędnicy zmuszeni są siedzieć w biurach od godziny ósmej rano do trzeciej popołudniu, zwłaszcza gdy jeden z członków nadzoru, jak większa część bogatych ludzi obdarzony brakiem apetytu, który byłby dobrodziejstwem niebios dla chudego pachołka, śledzi argusowemi oczami, czyli kto nie wymknął się cichaczem na przechadzkę. Głód, który bywa nieraz motorem licznego natchnienia, jak poświadczy każda mysz wychowana w magazynie księgarskim, pobudził i spokojniejszą wyobraźnię biuralistów rachunkowych do pomysłu, opartego na spostrzeżeniu, iż srogi dyrektor niezbyt jest biegłym w terminologji zapożyczonej z obcych języków. Zmówili się tedy, i z kolei, parami, poczęli wybiegać do najbliższego sklepu korzennego, lub do cukierni dla pokrzepienia się wódeczką i zakąską. Argus spostrzegł oczywiście natychmiast nieobecność zaraz pierwszej dwójki, i zapytał surowo:

— A gdzie jest X?

— Poszedł kollacjonować, panie dyrektorze.

— Aa! To dobrze, mruknął dyrektor, nie mający wyobrażenia o tem, czyli kollacjonowanie jest czynnością wymagającą ruchu rąk, nóg, lub innej jakiej części ciała, albo też innym jakim procederem, mającym dobro zakładu na celu.

— Tak, dodał po chwili, ale gdzie jest Y.? Nie widzę go także!

— Y. poszedł konstatować kollacjonowanie, panie dyrektorze.

— Aaa!

Od tego czasu, Argus nietylko nie pytał więcej, gdzie poszedł ten lub ów z jego podwładnych, którego nie widział w biórze, ale owszem, ile razy spostrzegł, że wyjątkowo każdy jest na swoim posterunku, zapytywał z wielką troskliwością, czemu dzisiaj nikt nie idzie kollacjonować, ani konstatować? Na to hasło zrywał się jeden i drugi, i spiesznie wychodził; szanowny dyrektor zaś powtarzał z owem zadowoleniem, jakie nam sprawia uczucie spełnionego obowiązku, że urzędnicy nie robiliby nic, gdyby ich nie pilnował i nie przypominał im, co jest do czynienia.

* * *

Otóż „konstatuję,“ że wyszła bardzo zajmująca książka pt. „Z dziennika psychologa,“ przez dr. Ochorowicza. Niechaj tytuł nie odstrasza nikogo, nawet nikogo takiego, co byłby w ambarasie, gdyby mu kazano określić różnicę między „psychologiem“ a „psychrometrem.“ Książka, o której mówię, nie jest w istocie niczem innem, jak tylko dziennikiem, zbiorem luźnych spostrzeżeń i uwag, czynionych i zapisywanych przez dziesięć lat, dzięki wczesnemu popędowi autora do bacznego zastanawiania się nad wewnętrznemi zjawiskami w człowieku, nad procesem odbierania wrażeń i tworzenia pojęć. Zapiski takie, podane bez chęci pozowania, przejęte ciągłem dążeniem zbadania prawdy i uniknienia złudzeń, którym ulegamy bądź z winy naszych zmysłów, bądź też z winy niedostatecznej naszej kontroli nad temi władzami — czytają się z zajęciem i pobudzają do samoistnego myślenia każdego, komu bodaj trochę daną jest ta umiejętność.

Nie bez obawy wspomniałem tu o „złudzeniach.“ U nas jeszcze zawsze jedno słowo wywołać może maleńką wojnę domową. Kto pragnie „uniknąć złudzeń,“ naraża się na podejrzenie, że chce burzyć ideały, wytępić piękno z powierzchni ziemi, i z duszy ludzkiej. Nie o takich wszakże złudzeniach tu mowa, na których opiera się idealne piękno. Bynajmniej. W „Dzienniku Psychologa“ pozytywizm nie walczy z fikcją poetyczną i artystyczną, nie obiera jej z krasy, zajmuje on się tylko czującym i myślącym organizmem człowieka, i usiłuje go zbadać. Śledząc biegu myśli autora takiej książki, trudno nie trącić mimowoli o stronę subjektywną. Otóż pod tym względem odnosi się wrażenie, jakoby się miało do czynienia z naturą uczuciową i marzycielską nawet, która siłą woli obrania się wrodzonym skłonnościom i zmusza się niejako, nakazuje sobie, ścisłe zdawanie sobie sprawy z siebie samej i z tego, co ją otacza. Uwaga ta przyszła mi na myśl między innemi przy ustępie, w którym autor wspomina o eksperymentach spirytystycznych. Każdy pamięta, że był czas, w którym duchy niebosszczyków z pomiędzy wyrobów kunsztu stolarskiego naraz upatrzyły sobie stoły jako narzędzia najodpowiedniejsze do znoszenia się z ludźmi. Później ułatwiono im tę komunikację fabrykując maleńkie stoliki, niby meble dla lalek, o trzech nogach, z których jednę stanowił duży ołówek stolarski. Znalem wszakże panie, które jeszcze bardziej uprościły ten mechanizm: zwykły ołówek bez stolika, poddany wpływowi spirytystycznemu, pisał jak żywy. Nie przesadzam, ale widziałem na własne oczy, że raz w braku ołówka jedna z tych dam pisała węglem, który jest przecież tylko spalonem drzewem. Dama ta była francuską, i z innemi kobietami tego narodu, oprócz wdzięków i gardłowego *r*, podzielała jeszcze także zupełną nieznajomość pisowni, prawda, że nie tak łatwej po francusku, jak po polsku. Węgiel, zapytany, czyli żyje ojciec jednego z obecnych, napisał: „*Il est maure.*“ Wyrwałem się jak Filip z konopi, i zawołałem, że przyjaciel mój nie ma ani jednej kropli krwi bisurmańskiej w swoich żyłach. Spirytka dowiedziała się później od swego męża, co znaczyła moja uwaga: postradałem jej łaskę i prawo bywania w jej domu. Od tego czasu postanowiłem nie krytykować ortografji duchów, i było mi z tem dobrze, ale musiałem udawać, że wierzę w nadprzyrodzoną piśmienność stolików itd. Rzecz nie do uwierzenia, jak wiarygodne zresztą i niezdolne do fałszu osoby, zachęcone tem przymusowem udawaniem wiary z mojej strony, wmawiały we mnie cuda, aż nazbyt widocznie sfabrykowane. Grzeczność nie pozwalała przeciwstawić oczywistych faktów, gołosłownemu twierdzeniu istoty, która ze względu na swoją płeć, nie mogła cię potem porąbać ani zastrzelić za to, iż jej zadałeś kłamstwo. Zresztą, na dziesięć spirytek, zdarzały się dwie, które oszukując z początku drugich świadomie, z czasem poczęły mimowoli oszukiwać same siebie — a przynajmniej można było przypuszczać, że padają ofiarą takiego złudzenia. Na szczęście, nim to zaczęło grasować epidemicznie, ni ztąd ni zowąd rozeszła się wiadomość, że duchy urzędować będą na ziemi tylko do pewnego terminu. Gdybym znał autora tego pomysłu, kupiłbym sobie jego fotografję i kłaniałbym się jej, ile razy wchodzę do mego pokoju. Dość, że duchy przeniosły się do Ameryki i do Anglji, a u nas zostały tylko niedobitki, tak mocno skompromitowane kategorycznemi a niezisczonemi proroctwami, że szarlatanerja daremnie usiłowała parę razy wyzyskać łatwowierność ogółu eksperymentami w tym kierunku.

W spostrzeżeniach psychologicznych, których celem jest zbadanie podobnych objawów, każdy niestety polegać może jedynie na tem, czego sam doświadczył. Potrzeba atoli chcieć i umieć doświadczać. Podniet i wskazówek w tej mierze znajdzie każdy nie mało w książce, o której wspominam.

Jan Lam.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*„Un mariage dans le monde“ par Octave Feuillet. „Revue de deux mondes“ Paris. 1875.*)

Przyrzekliśmy czytelnikom naszym zdać szczegółową sprawę z najnowszego romansu Oktawa Feuilleta „Un mariage dans le monde“ skoro się tylko ukaże w całości. Sądziliśmy, że mimo całego zajęcia, jakie budzi każda nowa produkcja tego genjalnego analizatora serc ludzkich w ogóle, a kobiecych w szczególności, dostatecznem będzie podać bajkę samą romansu. Po rozczytaniu się w nim jednak, spostrzegliśmy, że naczelną i najgłówniejszą jego piękność stanowią nieporównane rozumowania w kwestji małżeńskiej, na której polega cały pomysł romansu. Prawdziwość i dosadność ich jest tak wielką, że nie możemy się wstrzymać od przytoczenia obok treści całych ustępów. Sądzimy, że wyrządzimy tym sposobem przysługę tym z czytelników naszych, którym się ta książka później lub wcale nie dostanie w ręce.

Na samym już wstępie autor zapoznaje nas z osobą swego bohatera. L i o n e l d e R i a s, młodzieniec z „wyższego świata“, sam przyznający się, że już dosyć „pożył“, — pod naciskiem swej matki chrzestnej, damy, która wzięła sobie za zadanie życia tworzyć małżeństwa, decyduje się ubiegać o rękę M a r j i d e F i t z G e r a l d. Nazwisko to brzmi z irlandzka; jednakże Marja Fitz Gerald i jej matka, są paryżankami najczystszej wody. „Pani Fitz Gerald, wdowa po radzcy Stanu, była niegdyś piękną i pozostała nią jeszcze, pomimo skończonych lat 45. Gdy w jeden z pierwszych pięknych dni marca lub kwietnia, odłożywszy na bok strój futrzany, raczyła wyjść w towarzystwie córki na przechadzkę po bulwarze od ulicy de la Paix aż do kościoła Magdaleny, przechodnie ustępujący im z mimowolną czcią z drogi, mogli zrobić sobie z nich pojęcie o elegancji paryskiej, w jej najwyższej czystości. Matka i córki pomimo małego nawyknienia do chodzenia pieszo, postępowały śmiałym i pewnym krokiem, mierząc tłum z najwyższą obojętnością i wymieniając kilka słów głośno pomiędzy sobą, jak gdyby rozmawiały w własnym parku. Strój ich, pomimo, że z cudowną zręcznością zastosowany do wieku, wskazywał jednak tajemnicze i czarujące pokrewieństwo. Matka i córka szły równym krokiem, rozsiewając po drodze woń kwiatów cieplarnianych i asfalt, po którym stąpały, zdał się oczyszczonym przez ich przejście. Damy obce w Paryżu patrzyły zazdrośnem okiem na strój, ruchy i królewską minę tych dwóch kroczących przez państwo swoje paryżanek, i zrozpaczały słusznie nad tem, czy zdołają im kiedy wyrównać.“

*

Ponieważ jednak nie jest zadaniem naszem stawiać powyższe świetne damy za wzór naszym, przechodzimy tedy dalej do rzeczy.

Lionel de Rias zaręczył się z Marją Fitz Gerald. Na dzień przed weselem, zapoznaje się bliżej z gronem krewnych narzeczonej.

„Podczas kawy, sądziła panna Fitz Gerald, że należy narzeczonego przedstawić szczególniej dwom młodym kobietom, księżnej d' Estreny i pani de Mogés, będącym tak jak i pani de Lauris jej kuzynkami i przyjaciółkami młodości. Pani de Mogés była to wesoła, roztrzepana istota, z cokolwiek niesfornemi manierami, w głębi jednak jej czarnych oczu błyskał częstokroć osobliwy wyraz roztargnionego, zapominającego się prawie marzycielstwa. — Moje serce — rzekła swoim krótkim, urywanym sposobem do panny Fitz Gerald — skoro pójdziesz pierwszy raz do Bouffes-Parisiens lub do Palais Royal, weź mnie z sobą. Pragnęłabym ucieszyć się twemi pierwszemi wrażeniami! To bardzo zabawne, zobaczysz... Ja poszłam dla tego głównie za mąż, aby módz uczęszczać do tych teatrów; zaczynają mnie jednak już nużyć, bo mąż mój mnie niemi przesyca.

— Ach, skarżysz się, moja droga — odezwał się p. de Mogés, który wśród tego zbliżył się, kręcąc bokobrody. — Ja mam pewien system — rzekł pouczającym tonem, należał bowiem do ludzi, którym wino użycza godności — pozwalam żonie mojej brać udział we wszystkich moich rozrywkach. Nie jestem samolubem; mam moje upodobania, ale dzielę się niemi z żoną. I tak, lubię małe teatrzyki, gdzie lekkie żarciki dają, chodzi więc tam i moja żona zemną. Odwidzam bale, opery... z moją żoną; po balu wieczerzam z kilkoma przyjaciółmi i wyobrażam sobie..... mniejsza, dosyć, że moja żona z nami wieczerza... Żona winna być towarzyszką męża... to mój system.

— Mój Boże — odrzekła na to pani de Mogés — nieznośny jesteś z tym swoim systemem. Słuchaj, zamordujesz mnie. Zresztą pogardzam tobą!...

I wykręciła się na obcasie, hucznym wybuchając śmiechem.

Księżna d' Estreny była blondynką, smukłą, niezmiernie elegancką; wzrok miała pełen melancholji, a nawet smutku. Smuciła się, bo książę, jej małżonek, kochający ją, nie kochał jej „doskonałą miłością." Gdy kuzynka przedstawiła jej p. de Rias, księżna przypatrywała mu się z wyrazem bolesnego współczucia, a potem uścisnęła pannę Fitz Gerald i rzekła do niego przytłumionym tonem:

— Będziesz ją pan szczerze kochał, nieprawdaż?

— O tak — odezwał się po za nią pełny, wesoły głos — ale do czarta, kochaj ją doskonałą miłością, mój drogi. W tem leży wszystko. Słuchaj, mój miły Lionelu — ciągnął dalej książę d' Estreny, okazały mężczyzna, potężnej budowy — kobiety trzeba kochać miłością doskonałą, albo wcale się w to nie wdawać. Ja wtrącam w rozpacz biedną księżnę, ponieważ nie kocham jej miłością doskonałą, ponieważ nie piszę wierszy do niej. Mój Boże, wielkie to nieszczęście, ale ja... jak na to... nie robię zgoła... wierszy!...

Słowa te wyskandował wyraziście, jak gdyby chcąc dać poznać, że jakkolwiek wierszy nie pisze, uważa się natomiast za jednego z najwyborniejszych pisarzy prozą.

Podczas tej tyrady, księżna zdjęła rękawiczki i poprawiała pierścienie na palcach z wyrazem najzupełniejszej nieuwagi. Gdy zaś książę skończył już swoją wesołą mowę, obróciła się spokojnie do panny Fitz Gerald i spytała: Pójdziesz ze mną?

Obiedwie odeszły do fortepjanu. Księżna ułagodziła naprzód wzburzony swój umysł całym rojem chromatycznych drabinek tonowych, a potem zabrzmiały burzliwie po sali dźwięki walca na cztery ręce, i przyspieszyły tętna narzeczonej.

Nieco później przysiadł się Lionel do swojej matki chrzestnej, pani de Veyle, przyglądającej się z wyrazem radośnego zadowolenia temu rodzinnemu świętu.

— Droga matko — odezwał się młodzieniec do niej poważnym tonem — czy czas jeszcze zerwać?

— Jakto... zerwać! — zawołała markiza uniósłszy się żywo na fotelu. — Czyś stracił rozum, mój przyjacielu?

— Tak jest, z powodu panny Fitz Gerald.

— A więc?

W tejże chwili zatrzymała się tańcząca Marja przed niemi, schyliła się żywo i rzekła z uśmiechem:

— Co on pani powiedział?

— Że stracił rozum z twego powodu...

— O, jakaż to roskoszna niedorzeczność! — zawołała radośnie młoda dziewczyna i powionęła dalej w tańcu.

— Nigdym jej tyle nie cenił, co dzisiaj — podjął znowu Lionel. — Poznałem, że jest to prosta, tkliwa, szczera, czarująca, wybrana istota...

Panna Fitz Gerald, która zauważyła, że znowu o niej mowa, zatrzymała po raz drugi swego tancerza w temże samem miejscu i spytała półgłosem:

— Co on mówi jeszcze?

— Mówi, że jesteś wybraną istotą!...

— Ależ on naprawdę szalony! — odparła na to dziewica i zwróciła się promieniejąca do swego tancerza, który pomimo uprzejmego na ustach uśmiechu, nie zdawał się osobliwie bawić tą sceną.

— A jednakże — ciągnął dalej pan de Rias w zwierzającym się tonie — najbardziej ponure myśli dziś w wieczór mnie dręczą.

— Jakie myśli, biedny przyjacielu?

— Zauważyłem coś przerażającego. Pomiędzy naszymi gośćmi mamy siedm do ośm małżeństw, niewątpliwe nie wybranych umyślnie dla postrachu, ale na chybił trafił ze społeczeństwa, a pomiędzy niemi nie masz ani jednej pary, któraby się nie znajdowała w jawnym stanie niezgody i wzajemnego niezadowolenia. Obejrzyj się tylko w koło siebie i powiedz, że nie mam słuszności, jeżeli zdołasz.

(C. d. n.)

Przegląd naukowy

przez

Ludwika Wierzejskiego.

Umiejętności przyrodnicze robią w teraźniejszych czasach tak znakomite postępy i obejmują kwestje tak ważne i rozmaite, iż poznanie wyniku badań tych umiejętności staje się coraz bardziej umysłową potrzebą klasy wykształconej. Chąc ile to będzie w naszych siłach przyczynić się do zaspokojenia tej potrzeby, postaramy się podawać czytelnikom *Tygodnia* od czasu do czasu krótkie sprawozdania z najważniejszych pojawów z tej dziedziny.

Teorja Darwina, którą jej twórca zastosował wyłącznie do wytłumaczenia powstania gatunków w dziale zwierzęcym i roślinnym, znalazła w nowszych czasach zastosowanie w takich działach wiedzy ludzkiej, w których pewnie nawet sam Darwin nie przypuszczał, aby zjawiska przez nie objęte, mogły podlegać tym samym prawidłom, według których się rozwój gatunków w świecie zwierzęcym i roślinnym odbywa, i pod wpływem tych samych czynników, które przy tym rozwoju działają. Przekonaliśmy się w nowszych czasach, że wytwarzanie się języków odbywa się według prawideł wykazanych w teorji Darwina. Równocześnie poznano także, że życie społeczne i dziejowy rozwój ludzkości podlega także tym prawidłom, a niedawno zastosowano tę teorję także do kosmogonji. Już w rozprawie naszej p. t. „Rozwój w przyrodzie i w dziejach" zamieszczonej w *Tygodniu* Nr. 33 — 36, staraliśmy się wykazać, że zmienność i dziedziczność, te dwa główne czynniki działające przy rozwoju zwierząt i roślin, są tylko modyfikacjami siły odśrodkowej i siły ciągnienia, które przy wytwarzaniu się ciał niebieskich działały. Oprócz tego wystąpił Dr. Karol du Prel w dziele p. t. „Walka o byt na niebie" wydanem w r. 1874 w języku niemieckim z twierdzeniem, że także trzeci czynnik, którego działanie przy rozwoju świata ustrojowego Darwin dostrzegł t. j. walka o byt, ma udział przy wytwarzaniu się ciał niebieskich, a szczególnie przy urządzaniu się koleji, w których te ciała krążą.

Dr. du Prel utrzymuje, że porządek i harmonja, jaką obecnie w obrotach ciał niebieskich widzimy, nie są odwieczne, lecz że są tylko wynikiem licznych kolizyj i katastrof, którym te ciała w przeszłości podlegały. Według tego zdania utrzymały się ze wszystkich ciał niebieskich, pierwotnie w przestrzeni krążących, tylko te, których koleje taką miały postać, że ciała po nich obiegające ani się z sobą nie spotkały, ani też w skutek właściwej im siły przyciągającej nie zostały w inne koleje rzuconemi. Wszystkie zaś ciała niebieskie, których koleje tych warunków nie posiadały, zetknęły się z innemi i zostały przez nie pochłonięte. Twierdzenie swoje stara się Dr. du Prel uczynić łatwiejszem do zrozumienia, przez następujące porównanie: Wyobraźmy sobie — mówi tenże — że ktoś ze sztuką urządzania baletu wcale nie obznajomiony, ustawił na obszernej płaszczyźnie wielką liczbę tanecznic w małych odstępach. Każdej tanecznicy polecił tańczyć inną figurę, bez wszelkiego ogólnego planu, i bez względu na kolizje, jakie z połączenia tych figur dla tańcujących wyniknąć mogą, a wymijać się wzajemnie tanecznicom zabronił.

Skutkiem tego byłyby liczne kolizje w tańcu. Te tanecznice, któreby się z sobą zetknęły, musiałyby według otrzymanego polecenia albo ustąpić ze sceny, albo od punktu, w którym się zetknęły dalej razem tańczyć, z czegoby wynikło, że tylko te pozostałyby na scenie, których figury bez przeszkody mogłyby być wykonane. Gdyby od tej chwili ktoś nie wiedząc o tem co się przed tem działo, zaczął się przypatrywać tym tańcom, toby myślał, że porządek i harmonja, które w tym balecie znalazł, były tam od samego początku.

W podobnem położeniu znajduje się ludzkość, która dopiero wtenczas stała się widzem obrotów ciał niebieskich, gdy z tych obrotów możliwość kolizyj została usuniętą.

Wprawdzie spostrzeżenia nie wykazały dotąd żadnego śladu faktu, któryby wskazywał, że planety i inne większe ciała niebieskie takim katastrofom podlegały, lecz natomiast bardzo częstem jest zjawisko, że meteoryty i gwiazdy spadające, które od planet jedynie mniejszą objętością się różnią, w wielkiej liczbie na powierzchnię ziemi spadają, co jest skutkiem licznych kolizyj, którym te ciała w swych kolejach podlegają. Tak samo też wykazały spostrzeżenia, potwierdzone rachunkiem, że koleje komet częstym zmianom podlegają wskutek siły przyciągającej planet.

Nie możemy się na tem miejscu zajmować oceną teorji Dr. du Prel, gdy ona jednak w świecie uczonym wielu pozyskała zwolenników, i przez niektórych jest uważaną jako stanowiąca epokę w umiejętności, to uważaliśmy za stosowne zwrócić na nią uwagę naszych czytelników.

Zajmujący fakt, który pierwszy raz już dawniej spostrzeżonym został, obrał sobie Darwin w najnowszych czasach za przedmiot swych badań, a tym faktem jest to, że niektóre rośliny trawią w swych liściach materje białkowate w ten sam sposób, jak zwierzęta w żołądku. Z polecenia Darwina robił także Hooker badania w tym przedmiocie, których rezultat ogłosił na posiedzeniu zgromadzenia przyrodników w Beffast. Darwin zaś napisał o tem niedawno dzieło pod tyt. „O roślinach mięsożerczych“.

Rośliny posiadające wspomnianą własność są: *Dionea muscipula*, *Drosera*, *Pinquicula*, *Nepentes* i niektóre inne. Jeżeli na liść Drosery usiądzie owad, wtenczas liść się składa i zatrzymuje owad tak długo w swym objęciu, dopóki przez sok, który się z liścia wydziela, owad nie zostanie rozłożonym. Gdy zaś jakieś ciało nieorganiczne położonem zostanie na liść, to liść także się złoży, lecz po krótkim czasie otworzy się i wyrzuci ciało nieorganiczne bez wszelkiej zmiany.

Liście tych roślin mają postać urny z nakrywką ruchomą, a liczne gruczoły wewnątrz tego liścia znajdujące się, wydzielają kwaśny płyn, który się na dnie woreczka zbiera. Płyn ten zawsze znajduje się w woreczku, w którym się na nowo utworzy, jeżeli się go z tamtąd wyleje, a to nawet po oderwaniu liścia od rośliny.

W celu poznania siły trawiącej rośliny Nepentes, wkładali Darwin i Hooker białko z jaja gotowanego krajane w kostki, surowe mięso i chrząstki do wnętrza liści woreczkowatych. Po 24 godzinach były już rogi kostek z białka strawione, a powierzchnia wydawała się jak galareta. Kawałki mięsa szybko zostały rozdrobnione i w przeciągu dwóch do trzech dni. Chrząstki 8 do 10 granów ważące zostały w przeciągu 24 godzin do połowy rozpuszczone, a po trzech dniach cała masa znacznie się zmiejszyła i stała się podobną do galarety. Chrząstka przez tydzień na powietrzu suszona, została w woreczku rośliny Nepentes Rafflesiana w podobny sposób chociaż po dłuższym trochę czasie zmienioną.

Oprócz tego spostrzegł Darwin, że substancje zwierzęce sprawiają znaczne zmiany w komórkach gruczołów, wydzielających sok trawiący w woreczkach roślin mięsożerczych.

Pierwoszcza w komórkach gróczołów nagromadza się wskutek zetknięcia się z substancjami zwierzęcemi, a ściany komórek przybierają inną barwę. Wnętrze woreczka pierwotnie zielone, pokrywa się licznemi brunatnemi plamkami. Gdy gruczoły ukończą swoją czynność, wtenczas płyn zawarty w woreczku ulatnia się, a woreczek więdnie.

Według tych spostrzeżeń mogłoby się zdawać, jakoby rośliny mięsożercze stanowiły wyjątek z pod ogólnego prawidła przyrody, według którego rośliny pobierają swe pożywienie wyłącznie ze świata nieustrojowego, a zwierzęta karmią się pokarmem ustrojowym.

Świat roślinny jednak okazuje nam liczne analogje z tem zjawiskiem, że rośliny zamiast żywić się wyłącznie przez przyswajanie sobie bezwodnika węglowego z powietrza za pośrednictwem liści, a pokarmów mineralnych przez korzenie, chwytają owady i ciało tychże spożywają. Tak n. p. zawierają nasiona wielu roślin ciałka białkowate, z których się zarodek rośliny wytwarza. Oprócz tego żywi się wiele roślin materją ustrojową innych roślin, znajdującą się w stanie rozkładu. Chociaż więc w ogólności między sposobem żywienia roślin a zwierząt wielka zachodzi różnica, to jednak pomimo tego jest pewnem, że pierwoszcza komórek niektórych roślin zdolną jest do przyjmowania sobie takiego samego pokarmu, jak pierwoszcza komórek zwierzęcych, a rośliny mięsożercze mogą być zaliczone do łączników między światem roślinnym i zwierzęcym.

Kronika paryska.

Paryż — listopad 1875 r.

Znakomity artysta, tragik włoski Rossi, przybywszy do Paryża, daje w sali „Ventadour“ gościnne przedstawienia. Repertuarz jego w przeważnej większości z Szekspirowskich składa się dramatów: *Othello*, *Hamlet*, *Macbeth*, *Król Lear* i t. d.

Francuzi rzeczywiście nie znali dotąd Szekspira na scenie. Przerobienia bowiem (niesposób nazwać to tłumaczeniem) arcydzieł jego przez P. P. Ducis i Jules Sacroix, blade tylko o pięknościach oryginału mogły im dać pojęcie. Ztąd entrepryza pana Rossi, grającego role powyższe w dosłownem ich z angielskiego na włoski język przekładzie, zupełną i ponętną była dla nich nowością. Ztąd sala pełna, ztąd gromy oklasków, ztąd dochód wystarczający, by zachęcić artystę do dłuższego pobytu w murach stolicy.

Myśmy na to jak na lato i dla wielu jednocześnie powodów. Raz dla tego, że Szekspir był zawsze przedmiotem najgorętszych artystycznych naszych zachwytów drugi raz dla tego, iż talentów tak wybitnych, jak talent pana Rossi nie do zbytku na paryskim bruku; nakoniec trzeci raz dla tego, iż to nam dostarcza materji, do dłuższych z wami tak o arcydziełach jak i o artyście pogadanek.

Czternaście lub 15cie lat temu, widzieliśmy w tych samych dramatach i w tych samych rolach, słynnego Negra-Anglika Ira Alridge, kiedy przejazdem przez Kijów, na tamtejszej występował scenie. Podczas pobytu naszego w Niemczech (w Wiedniu, w Monachjum, w Studgardzie, w Manheimie) widzieliśmy różnych tamecznych artystów (w liczbie ich Grünerta w Studgardzie) podejmujących też same zadanie. Danem nam zatem było porównać, jak jenjusz trzech odrębnych plemion, pojmuje kreacje tego wielkiego, do całej ludzkości należącego mistrza.

Przypisać to zapewne należy ówczesnej naszej młodości, która łatwiejsza do elektryzowania, na wszystko co piękne, bardziej zachwyconem spoglądała okiem; lecz wyznamy, iż ani znakomity talent niemieckich tragików, ani niemniej znakomity talent p. Rossi, nie zatarły w myśli naszej wspomnień i wrażeń, zawdzięczonych niegdyś talentowi angielskiego artysty.

Pamiętamy uderzył on nas szczególniej w roli *Otella*.

Wiadomo każdemu, kto czytał Szekspira, jak boski mistrz ten pojął cudownie furję zazdrości, szarpiącą namiętną pierś wpół dzikiego Maura.

Otóż przyznając, iż powierzchowność Ira-Alriage, iż silną barwą południa nacechowane jego oblicze, afrykański blysk jego źrenic i t. d. mogły wiele do korzystnych dla onej roli usposabiać illuzji; twierdzimy jednak, że nawet po usunięciu tych zewnętrznych szczegółów, w grze jego, w giestach, w intonacji głosu, pozostawało jeszcze pewne piętno prawdy, natury, którego ani za flegmatyczny Giermańczyk (Grünnert) ani za miękki, za cywilizowany syn Italji (Rossi) otrzymać nie byli w stanie.

Powiemy to samo i o roli Shylock'a w *Kupcu Weneckim*.

Inne uderzyły nas mniej wybitną różnicą wykonania, a nawet być może, iż w tej mglistego, zadumanego *Hamlet'a* palma zycięska zostałaby na stronie Grünnerta.

Nie pojmując powolnego dystylowania zemsty, Ira-Alridge rzucał się w niej za gwałtownie.

Manierze pana Rossi, jedną wielką zarzucilibyśmy wadę, której ulega i słynna rodaczka jego pani Ristori, i cała dramatyczna szkoła francuskich artystów. Deklamuje! Deklamuje na zabój, zawzięcie! Brzmiące wiersze są zapewne nader piękną rzeczą i nikt gorętszym od nas nie jest ich miłośnikiem.

Lecz zadaniem aktora na scenie nie jest i nie może być wytykać nam harmonijne wersyfikowania piękności. Zrozumiemy i ocenimy je u siebie, w domu, z książką w ręku, przy cieple kominka. Zadaniem aktora jest ożywiać postacie przezeń reprezentowane, tak by prawda ich ruchów, czynów, całej w ogóle egzystencji, możliwą nam robiła illuzję. Otóż Otello idący zadać śmierć niewinnie posądzonej Desdemonie — otóż Hamlet zagrażający sztyletem zbrodniczemu ojczymowi — otóż Macbet wychodzący z komnaty, gdzie sędziwego zamordował monarchę, a skandujący heksametry starannie i żadnej z nich nie wypuszczający sylaby, i do ich taktu zastosowujący ruchy swych rąk i głowy, zupełnym zdaje się nam być nonsensem.

Nikt nie wie, jak wielką szkodę wyrządzają dramatycznej sztuce „dramatyczne konserwatorja“ i inne tym podobne, według nas na nic nie zdatne, zakłady.

Nie parodoks to, jakby się zdawać mogło a istotna prawda. Żadna nigdzie szkoła nie wydała i nie może wydać żadnego wielkiego artysty, w jakim by to nie było sztuki rodzaju, tak w malarstwie, jak w poezji, jak nakoniec w kunszcie dramatycznym. Wielkich artystów wydaje natura; tworzą się oni sami, bez wszelkich przygotowań, a czasem nawet wbrew w przeciwną stronę zmierzającym przygotowaniom. Moglibyśmy postawić setki argumentów na poparcie naszego twierdzenia. Poprzestaniemy na dwóch pytaniach. I. Czy ubiegłe wieki nie posiadające żadnych lub prawie żadnych akademij, żadnych instytutów żadnych specjalnych dramatycznych konserwatorjów, czy ubiegłe wieki, pytamy, uboższemi były od naszego pod względem talentów artystycznych? Bynajmniej! Przeciwnie! II. Czy wielcy malarze jak Rafael lub Rembrandt, wielcy poeci, jak Szekspir lub Dante, wielcy artyści dramatyczni jak Kean lub Talma, sposobili się w specjalnych zakładach? Czy z jakich Instytutów lub Akademij pierwsze kiedykolwiek brali nadgrody? Zgoła! Wcale! Zaglądnijcie do ich biografij.

Taki Szekspir wędrującym był komedjantem, ledwie, że nie skoczkiem na linie, a zmuszony od dzieciństwa zarabiać na twardy kawałek powszedniego chleba, nie miał czasu na przygotowawcze studja.

Kean kształcił się na krawca, Talma na dentystę, Rembrandt na prawnika, Leonard da Vinci był inżynierem, Benvenuto Celini złotnikiem i t. d. Przeszkodziłoż to artystycznej ich wielkości? Ani trochę. Pracowali oni zapewne potem, każdy nad upodobaną przez siebie sztuką, ale pracowali że tak rzeknę dowolnie, nie według absolutnych formułek szkoły, ale według indywidualnych swych usposobień, radząc się mistrzów sympatycznych swemu talentowi, a nie tych, których im za bezwzględna, za ogólnikowa administracji szkolnej wytyka opieka. W naukach ścisłych, gdzie indywidualizm jest niczem, gdzie nie trzeba żadnych odrębnych natury właściwości, a tylko rozgarnienia, a tylko loiki, a tylko

trzeźwej inteligencji, w naukach ścisłych, powiadam, w matematyce, medycynie i t. d. szkoła jest koniecznością i bez niej one ani jednego naprzód nie zrobią kroku. W sztuce, gdzie indywidualizm jest wszystkiem, szkoła ta zbytkiem. Stokroć lepszą dla nich życie, praca osobista, osobiste a nie ujęte żadnym systematem poszukiwanie piękna a prawdy. Gdybym miał syna i gdybym w nim do tego lub owego kunsztu wielkie zauważył usposobienie, ani bym myślał o oddaniu go do specjalnego pod tym względem zakładu. Posłałbym go przeciwnie do politechniki, do szkoły inżynierów, do szkoły handlowej, niech w nich inteligencję swą rozwija i przekonany jestem, że czyniąc tak, ani trochę artystycznej dziecka mego nie sprzeciwiałbym się karjerze. Owszem, jeśli miał być zeń dobry, istotny artysta, malarz, dramaturg lub poeta, to artysta ten wbrew wszystkiemu wyrośnie zeń w przyszłości tem wszechstronniejszy, im większym praktycznej wiedzy wzbogacony zasobem. Specjalna szkoła zabiłaby w nim oryginalność, zrobiłaby go kopistą, niewolnikiem zasad i formułek przez nią uznanych. Życie, praca dowolna, zrobi zeń samoistnego artystę, jeśli tylko natura usposobiła go po temu.

W panu Rossi, wracając do rzeczy, jaskrawe twierdzeń naszych widzimy udowodnienie. Natura stworzyła w nim zdolnego, bardzo zdolnego artystę, popsuła go szkoła. O co z tej szkoły, to musiał pan Rossi wszystkie możliwe wynieść medale, nagrody i poświadczenia, tak się wbiła w jego pamięć, tak się na całej jego osobistości namacalną wycisnęła pieczątką. Przypatrzcie się jego postawom, sposobowi zaokrąglania ręki, sznurowania ust, przymrużania oczów. Nikt pod słońcem, nikt zgoła tak nie chodzi, tak się nie uśmiecha, tak ręki nie podaje. To nic nie znaczy! Wymagania szkoły... Zbudowana na odwiecznych tradycjach, sięgających czasów Moliere'a i Racine'a, czcigodna ta sztaruszka ma swoje wiekami uświęcone przywidzenia i takowe wpaja w młode umysły. Sztuka mogła zrobić postępy, sztuka mogła zrozumieć, iż zadaniem jej nie jest przedstawiać na scenie świat i towarzystwo jakieś fikcyjne, konwencjonalne, nieistniejące, lecz że zadaniem jej przeciwnie jest odtwarzać o ile można wiernie naturę i świat rzeczywisty, szkoła tego nie zrozumiała i *entre nous soit dit* zrozumieć nawet nie mogła; szkoła przypuściwszy taką reformę, popełniłaby samobójstwo, przestałaby być szkołą. Jak bowiem uczyć tego, co się w żadne ująć nie daje formułki?.. Jak wykładać sposób „bycia naturalnym“? Naturalność jest rzeczą nader względną. Co jest naturalnem w Otellu nie jest nim w Hamlecie. Artysta powinien wejść, że się tak wyrażę w ciało każdej przedstawianej przezeń postaci, zrozumieć jej namiętności, uczynić takowe swojemi, być zazdrośnym, mściwym, ambitnym, wedle potrzeby. Otóż to jest rzecz nie do nauczenia. Szkoła tego dać nie może, daje to bez niej natura. Wykształcenie szkolne, missja jego zredukowałaby się zatem do technicznej, rzemieślniczej strony kunsztu, do rozcierania farb w malarstwie, do obliczania sylab wierszowych w poezji, do niewiem już czego w sztuce dramatycznej. Na taką redukcje żadna szkoła się nie zgodzi. Stwarza więc formułki absolutne dla rzeczy względnych, ustanawia prawem, to co jest tylko hypotezą, uświęca jako nienaruszalną zasadę to, co dziś dobre, przypuszczam dla mnie i dla mojej generacji, ale jutro, dla generacji co przyjdzie, zupełnym stać się może nonsensem, i owych formułek i tego prawa i tej zasady trzyma się jak kotwicy zbawienia, jak gruntu pod stopami, który jej egzystować pozwala.

Niektóre niestety bardzo rzadkie ustępy w grze pana Rossi pozwoliły nam samoistnego domyśleć się artysty; pozwoliły nam ocenić grunt żyzny, który gdyby go szkoła swoją wandalską nie ukorczowała była dłonią, inne, lepsze, mógłby wydać owoce. Wygląda to śmiesznie, a jest pomimo tego wielką prawdą iż ustępy najmniej wybitne, iż ustępy, w których mniej goniąc za efektem, najwięcej był samym sobą, najlepiej wyszły w grze jego. Vice versa ustępy patetyczne, gorączkowe, namiętne, te wszystkie w ogóle, którymi myślał przed zdumioną popisać się publicznością, wypadły o wiele gorzej. Wypowiedział je bowiem według reguł szkoły, tak jak go nauczył „profesor“, uczeń „profesora“, który z kolei także uczył się u „profesora“ i t. d. i t. d. w górę, aż do czasów Moliere'a. Co tam, że świat się zmienił zupełnie, że życie towarzyskie innym ulega warunkom, że nikt dziś pudrowanej peruki na głowie, a kapelusza nie nosi pod pachą; że nikt z żabotów resztek nie strąca tabaki, że moda krygowania się i mówienia przez zęby przeszła wraz z tą muszek na twarzy i czerwonych obcasów u trzewików; szkoła i wychowany przez nią artysta o tak gwałtownych zmianach nie raczą wiedzieć i reprezentują świat po staremu, takim, jakim był za czasów Ludwika XIV, a przynajmniej XV.

Z wyjątkiem tej pryncypalnej, według nas wady, tego, iż się tak wyrazim, pierworodnego grzechu wykształcenia p. Rossi, to artysta więcej niż dobry, i wszelkie sukcesów posiada warunki: głos brzmiący i harmonijny, wyraziste oblicze, dystyngowaną powierzchowność. Gdyby mógł zapomnieć wszystko, czego się nauczył, gdyby od początku, od a, b, c, od ról najniższych, pracując sam nad sobą, chciał rozpocząć swe dramatyczne studja, z czasem bezwątpienia zostałby wielkim artystą; nie czyniąc tego, zostanie tem, czem jest dzisiaj: bardzo utalentowanym, bardzo przyzwoitym, bardzo interesującym—aktorem.

Wolny mu wybór. (Dok. nast.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Ziemie polskie. Lekcje geografji w połączeniu z etnografją. Układu Julji Selingerowej. Lwów. Nakł: autorki 1876. 8o str. 124.

Przed kilku tygodniami opuściła prasę książka pod powyższym tytułem, która, szczerze powiedzieć możemy, zapełnia w pożądany sposób dotkliwą lukę w naszem piśmiennictwie geograficznem. Nie mieliśmy dotąd żadnej książki, któraby w rozmiarach odpowiednich młodszemu wiekowi, przedstawiała w całości obraz ziem polskich pod względem fizycznym, etnograficznym i politycznym. Kto się chciał z geografją ziem polskich obznajomić, musiał poprzestać albo na niedostatecznych opisach, znajdujących się w obszerniejszych geografjach powszechnych, albo musiał sięgać do prac monograficznych, które nie dla każdego są dostępne, i z których też nie każdy potrafi sobie zestawić obraz całości. Otóż właśnie taką całość, taki ogólny obraz ziem polskich przedstawia p. Julja Selingerowa, w swojej książce. A jest to obraz pod każdym względem udatny i zajmujący. Autorka korzystała bowiem sumiennie i ze znajomością rzeczy, ze źródeł, które miała pod ręką; umiała z nich wybrać co ważniejsze i co najwięcej zasługuje na uwagę; umiała dalej zestawić zebrany materjał w należytym porządku, umiała zgrupować go w obrazy opisowe stylem prostym, jasnym, żywym i prawdziwie pięknym. Wplatane w stosownych miejscach pomiędzy opisy geograficzne wspomnienia z dziejów i szersze nawet poglądy dziejowe, jak również charakterystyczne rysy z życia i obyczajów ludu, robią książkę p. Selingerowej tem pożyteczniejszą i poczytniejszą. Jest tu we wszystkiem zachowana miara należyta, niczego za wiele i niczego za mało; zajmująca rozmaitość, ale zręcznem i systematycznem zestawieniem zlana w całość organiczną, w której czytelnik bez trudności się orjentuje i z łatwością objąć ją jest w stanie. Nie wątpimy, że książka ta znajdzie powszechne uznanie, na jakie rzetelnie zasługuje, i pewnie mile będzie powitaną przez wszystkie zakłady wychowawcze i naukowe, w których programie jest nauka geografji ziem polskich, jak również przez tych wszystkich, którzy pragną poznać swe ziemie ojczyste, a nie mają sposobności i czasu studjować prac monograficznych i rozległych dzieł źródłowych.

— „Gorais“. Poemat Seb. Fab. Klonowicza wydał Dr Władysław Okęcki. Warszawa — 1875.

Klasyczna nasza literatura łacińska została wzbogaconą dzięki szczęśliwemu przypadkowi. W księgozbiorze bowiem ordynatów Zamojskich znalazł się obszerny poemat pod tytułem: "Gorais“ przypisany temu samemu Adamowi Gorajskiemu, któremu i „Victoria Deorum“ była poświęconą. — Poemat ten zdaje się być dawniejszym jak poemat „Victoria Deorum“. Utwór cały szczególniej pod względem formy w miejscach opisujących naturę, nie ustępuje najlepszym dziełom Klonowicza. — W manuskrypcie samym znaleziono wiele rzeczy ręką Zbigniewa Gorajskiego dopisanych. Dla lepszego zrozumienia, opatrzył wydawca ten poemat dopiskami i dokumentami, oraz genealogją rodziny Gorajskich aż do Zbigniewa Gorajskiego, bez czego zrozumienie poematu byłoby niemożliwem.

---

ten Holzschnitten 252 str. gr. 8o Berlin 1875. 2 zł. 40 ct.
Komers: Jahrbuch für öster. Landwirthe 1876. 2 Theile. Prag 1876. 4 zł.
Lackowitz W. Musikalische Skizzenblätter mit 23 Illustr. 8o Leipzig 1876. 2 zł. 40 ct.
Vincenti C. Wiener Kunst-Renaissance Studien und Charakteristiken 464 str. 8o Wien 1876. 4 zł.
Setegast B., Die Landwirschaft und ihr Betrib in 3 Bänden. I Band gr. 8o 362 str. Breslau 1875. 3 zł. 60 ct.
Weber M., Nationalität und Eisenbahn-Politik gr. 8o 110 str. Wien 1876. 1 zł. 65 ct.

Dzieła francuskie.

Un inconu célébre. Recherches historiques et critiques sur Raymond de Sebonde par L'Abbé D. Reulet 324 str. 8o Paris 1875. 1 zł. 92 ct.
D'Ideville H., Journal d'un Diplomate en Allemagne et Grèce. Notes intimes pouvant servir à l'histoire du second Empire 370 str. 8o Paris 1875. 2 zł. 10 ct.
Hübner M. le Baron: Promenade autour du Monde 1871. 2 vol. 8o Quatrième edition; Paris 1875. 4 zł. 20 ct.
Guéranger: Sainte Cécile et la société romaine aux deux premièrs siécles. Ouvrage contenant deux chromolithografie, six planches en taille-douce et deux cent cinquante gravures sur bois. gr. 8o Paris 1875; w ozdobnej oprawie 19 zł. 80 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Dziś, w sobotę, o godzinie 5ej z południa w auli Uniwersytetu lwowskiego, dr. Juljan Ochorowicz będzie miał odczyt habilitacyjny „O filozoficznem i przyrodniczem pojęciu atomu.“

— Dyrekcja lwowskiego teatru zapowiada nam kilka nowych dzieł scenicznych, między niemi „Bankructwo“ ze szwedzkiego. Utwór ten wyprzedza szeroka sława. Nie wątpimy, że dyrekcja stokroć lepiej wyjdzie na dobrych komedjach i dramatach, aniżeli na „Podróży około świata“, która publiczności naszej nie mogła zentuzjazmować.

— Księgarnia Polska we Lwowie zapowiada wydawanie od Nowego roku w formacie książkowym „Bibljografji polskiej“, w której zostaną pomieszczone: Bibljografja właściwa — Przeglądy literackie — Rozprawy w kwestjach handlu księgarskiego i ruchu wydawniczego, nakoniec—Ogłoszenia. Dla świata księgarskiego publikacja taka może być bardzo pożyteczną.

— Dramat W. Okońskiego „Niewinni“ pojawi się na scenie lipskiej, w przekładzie jednego z tamtejszych literatów, Gotarda Deyterta.

— Towarzystwo prawnicze lwowskie postanowiło wziąć inicjatywę w urządzeniu wiecu prawników i ekonomistów polskich. Statut odnośny już w lutym z. r. został zatwierdzony przez Namiestnictwo, rzecz sama jednak spoczywała dotąd. Na ostatniem atoli posiedzeniu Wydziału tego towarzystwa podniesiono znowu tę sprawę i uchwalono wziąć się do wykonania zamiaru, a naprzód porozumieć się z towarzystwami krajowemi i Akademją Umiejętności, tudzież z prawnikami wszystkich dzielnic Polski. Jako miejsce pierwszego wiecu zamierzono naznaczyć Kraków.

— Znany artysta warszawski, p. Wojciech Gerson, przetłumaczył na język polski traktat Leonarda da Vinci „O malarstwie.“ Dziełko to pojawi się wkrótce w Warszawie. Leonard da Vinci był jednym z najpotężniejszych genjuszów artystycznych we Włoszech.

— P. Lubowski, autor granych niedawno we Lwowie *Nietoperzy*, napisał cztery nowe utwory sceniczne, mianowicie: „Gonitwy“ komedję 5cio-aktową, „Kiedyż objad“, „Dwa przesądy“ i „Cudowne ziele.“ Pierwsza z tych sztuk pojawi się wkrótce na scenie w Warszawie.

— Wiktor Hugo ogłasza nowy utwór pn. „Na wygnaniu,“ a Thiers ukończył wielkie dzieło, w którem złożył wyznanie swoich poglądów filozoficznych. Tytuł tego dzieła: „Człowiek i materja.“ Manuskrypt pierwszego tomu jest już ukończony.

— Znani artyści niemieccy: Makart, Lenbach i Gnauth, udają się z końcem bm. do Kairu, gdzie cały rok zabawią w celu studjowania natury.

— W Paryżu powstanie nowy teatr, przeznaczony dla ludu. Teatr będzie obejmował 16.000 miejsc po 2 franki.

— Wielka Opera paryska od czasu otwarcia w styczniu r. b. do listopada, dała 148 przedstawień, z których dochód brutto wynosi 2,772.894 franków. W przecięciu więc każde przedstawienie przyniosło 18.735 fr. podczas gdy ogół kosztów przedstawienia wraz z ekwiwalentem ubogich obliczono na 11.000 fr. Czysty dochód zatem wynosił w tym czasie 1,036.000 fr. z której to sumy połowa jest zyskiem dyrektora p. Halanzier.

— Znany nasz malarz-artytsta p. Andrzej Grabowski, wykończył bardzo piękny portret Franciszka Smolki, przeznaczony na wystawę powszechną do Filadelfji. Portret ten był kilka dni wystawiony w sklepie Hawranka przy placu Św. Ducha, gdzie ściągał tłumy ciekawej publiczności.

Podróże i odkrycia.

— G. Smith, znany uczony angielski, który z pisma klinowego odczytał legendę assyryjską o potopie, otrzymał polecenie od dyrektora Muzeum brytańskiego udania się powtórnie do Niniwy, gdzie poszukiwania swoje dalej będzie prowadził. Na Wschód wyjechał on już w październiku. Nowe jego dzieło o „Genezie Chaldejskiej“ pojawi się wkrótce w Londynie.

— Wyprawa rossyjskich uczonych w stepy rozciągające się po tamtej stronie morza Kaspijskiego, została uwieńczona nadspodziewanym rezultatem. Oto odkryto ruiny wielkiego miasta, o którem do tej chwili nic nie wiedziano. Wiele minaretów w stylu arabskim jest jeszcze dobrze zachowanych. Znaleziono także szczątki wielkich wodociągów.

— Admiralicja angielska otrzymała od kapitana Naresa, naczelnika angielskiej wyprawy podbiegunowej następującą depeszę: Okręt jej królewskiej Mości, Aperniwik, 22. lipca 1875. Sir! Mam zaszczyt donieść, że okręty jej królewskiej mości „Alest“ i „Discovery“ przybyły tutaj dzisiaj rano. Dnia 17. o godz. 6ej rano opuściliśmy Rittenbank i przez drogę Waigata mieliśmy lekkie wiatry południowe, a potem ciszę. Do Prowen przybyłem dnia 19. bm. wieczór i zaangażowawszy kilku ludzi do załogi i Eskimosa do kierowania, poczem opuściłem ten port. Zima była tu dosyć łagodna, ale wiosna się opóźnia; w ogóle sezon jest bardzo nam sprzyjający. Przy energicznej pomocy p. Smitha, inspektora północnej Grönlandji udało mi się dostać 60 psów, z których część trzecia jest dorosłych. Załoga cała jest zdrowa i w dobrem usposobieniu.“

Wynalazek.

— Donosiliśmy już na tem miejscu o wynalazku, dzięki któremu promienie słoneczne będą może odtąd poruszały wszystkie maszyny w krajach zwrotnikowych. Dziś podajemy bliższe szczegóły: Mouchot, profesor z Tours, dawno już pracował nad wynalezieniem praktycznego sposobu zbierania promieni słonecznych i bezpośredniego zużytkowywania ich ku celom przemysłowym i rolniczym, przynajmniej w najgorętszych krajach ziemi. Według jego zdania, Egipt nie przestał być krajem uprzywilejowanym par excellence, chociaż mu tak trudno powstać z ruiny. Oprócz słońca, które prawdziwie marnotrawnie rzuca swe promienie na grunt jego, Egipt posiada jeszcze Nil, który tak samo jak i dawniej, jest niewyczerpanem źródłem bogactwa. Atoli w ojczyźnie piramid daje się czuć bardzo dotkliwie brak rąk do pracy. Trzeba by więc użyć machin do rozpostarcia dobroczynnego wpływu Nilu na cały kraj—co jest niepodobieństwem, albowiem w Egipcie cena węgla dochodzi do kolosalnej wysokości. Nawet drzewo jest tak drogiem, że Fellachowie do gotowania pokarmów używają mierzwy wysuszonej. Co począć w tak trudnych warunkach? Nauka każe udać się do dawnego bóstwa opiekuńczego tego kraju, do promiennego Ozirisa, który zsyła na Egipt potoki siły, aż nadto wystarczające do wszelkich użytków przemysłowych lub życia powszedniego. Jeszcze więcej stosuje się to do owych okolic, gdzie żar słońca jest tak silny, że nawet roślinność znika zupełnie. Czyż wiecznie okolice te mają być nieużytecznemi? Mouchot przedewszystkiem pracował nad zastosowaniem ciepła słonecznego do potrzeb życia powszedniego — mianowicie do gotowania. W tym celu zbudował przyrząd składający się z naczynia miedzianego z zewnątrz poczernionego, nakrył je trzema dzwonami szklannemi koncentrycznemi i odbijał nań promienie słoneczne za pomocą reflektora, złożonego z dwóch blach cylindrowych, zlutowanych z sobą pod kątem prostym. Woda wlana w naczynie miedziane zaczęła wrzeć po pewnej, dość długiej insolacji, pałeczka zaś siarki bardzo łatwo topiła się w tem naczyniu, choć do jej stopienia po trzeba 110° C. W ten sposób Mouchot zbudował piec przenośny, w którym można gotować owoce, kartofle, mięso, a nawet chleb wypiekać. Skórka chleba jest tak twarda i brunatna, jak upieczonego w zwykłym piecu. Najgłówniejezą wadą tego przyrządu była ta okoliczność, że czas potrzebny do zagotowania wody był bardzo długi. Mouchot więc postarał się go ulepszyć i wkrótce doprowadził do tego swój wynalazek, że mógł trzy kwarty wody zagotować w przeciągu $1^1/_2$ godziny. W tym przyrządzie za pomocą ciepła słonecznego ugotował on dwa funty wołowiny i odpowiednią ilość jarzyn, które obecnym na próbie bardzo smakowały. Tenże sam aparat ogrzewający zapalał w kilka sekund wióry lub deskę. Można było nawet za jego pomocą topić metale. Dwa funty cyny Mouchot stopił w przeciągu dwóch minut, tyleż ołowiu w 5, a cynku w 6 minutach. Stwierdziwszy tym sposobem możność zastosowania promieni słonecznych do ogrzewania wody w ograniczonem miejscu, wynalazca przedsięwziął spożytkować tę siłę do poruszania machiny parowej. Zadanie polegało przedewszystkiem na szybkiem doprowadzeniu wody do punktu wrzenia. Mouchot rozwiązał je tak szczęśliwie jak i poprzednio. Pod koniec roku 1866 udało mu się za pomocą jednogodzinnej insolacji puścić w ruch małą modelową machinę parową, taką jaką się zwykle ogrzewa spirytusem. Później wziął do doświadczenia większą machinę, której największy cylinder miał 25 centymetrów wysokości. Wprawił ją w ruch po półgodzinnej insolacji, to jest po takim przeciągu czasu, jakiego potrzeba do wprawienia w ruch machiny ogrzewanej spirytusem. Nakoniec zbudował udoskonalony generator pary, skracający czas i przezwyciężający wszelkie trudności, stawiane przez jeszcze większą i skomplikowańszą machinę. Akademja paryska wydelegowała specjalną komisję do osądzenia wynalazku Mouchota. Jeśli się to wszystko sprawdzi, co wynalazca podaje, to ludzkość będzie święciła uroczystość nowego zwycięztwa nad siłami natury, a chociaż w naszym klimacie wynalazek ten niezbyt wielkie będzie miał znaczenie, to jednak prawdopodobnie nie pozostanie bez wpływu na przemysł Europy. W każdym razie rozkrzewi cywilizację w gorących strefach i pocieszy nieco Anglików, patrzących bardzo smutno w przyszłość, albowiem policzone są dni ich kopalń węgla kamiennego — a więc dni istnienia Manchestrów, Birminghamów i morskiej potęgi. Zdaje się, że na rozstrzygnięcie tej kwestji nie długo będziemy czekali.

Zjawisko natury.

— W Norwegji, przy wstępie do ujścia Liusebo, zaobserwowano niedawno nader ciekawy fenomen. O godz. $5^1/_2$ wieczór, na powierzchni wody, ukazał się jakiś przedmiot, który początkowo miał formę wyrzuconego na wierzch wody pagórka, a w odległości 40 łokci od niego, zjawił się drugi takiż sam pagórek. Z 10 minut oba te pagórki stały nieruchome; lecz następnie pagórek, znajdujący się bliżej ujścia zaczął się poruszać z strasznym trzaskiem i hukiem, przyczem woda zapieniła się i zawirowała, jak w najsilniejszym wirze. Poruszający się przedmiot, który z brzegu przedstawiał się jak jaki potwór morski, najeżony był czarnemi igłami czyli rogami, a reszta jego powierzchni zdawała się ciemno czerwoną. Wkrótce rozległ się nad nią silny grzmot, który trwał prawie 2 minuty, a zaraz potem pagórek opadł w wodę; jednocześnie z nim zniknął i drugi pagórek, który przez cały ten czas pozostawał nieruchomym. Godnem jest uwagi, że przed 50 laty, w pomienionej miejscowości zaobserwowano zupełnie takie samo zjawisko; tylko trzask i szum trwały wówczas dłużej, a cała zatoka pieniła się mętną pianą. Gazeta donosząca o tem zjawisku, poczytuje takowe jako następstwo przewrotu wulkanicznego.

Szkolnictwo.

— Członkiem kr. Rady szkolnej. w miejsce p. Juljusza Starkla, wybrała Rada miejska dr. Euzebjusza Czerkawskiego, Rektora uniwersytetu lwowskiego.

ROZMAITOŚCI.

— Za panowania Ludwika XIII francuskiego, weszły pojedynki do tego stopnia na porządek dzienny, iż przy każdem spotkaniu rano rozmowy zaczynały się od zapytania: „Kto się bił wczoraj wieczór?“ Wieczorem zaś pytano się: „Nie wiesz pan, kto się bił dzisiaj rano?“ — Pomiędzy rozmaitymi zawadjakami, którzy w tej kwestji najwięcej Paryżowi przedmiotu do rozmowy dostarczali, najniebezpieczniejszym był niejaki Bouteville. Trudno było — powiada jeden współczesnik — uniknąć starcia z tym namiętnym rębaczem. Jeżeli ktoś naprzykład, w rozmowie oddał pewnemu człowiekowi najwyższą naówczas pochwałę, to jest nazwał go odważnym, można było być pewnym, że Bouteville pospieszy natychmiast do tego człowieka i wyzwie go w tych słowach: „Mój panie, powiadają mi, że jesteś odważnym; pozwól mi się przekonać, że tak jest rzeczywiście.“ — Co rano zbierali się pierwszorzędni rębacze paryscy u Bouteville'a, Na stole, obok chleba i wina leżały rapiry. Podczas śniadania odbywano naradę wojenną i ćwiczono się w fintach. Częstokroć przy tej okazji najlepsi przyjaciele aż do krwi się rąbali. Komandor de Valençay, następnie kardynał za papiestwa Urbana VIII, żył w najściślejszej przyjaźni z Bouteville'm i tak namiętnie lubował się w pojedynkach, że wyzwał przyjaciela jedynie za to, iż ten nie wybrał go za sekundanta do pewnego odbytego przez się pojedynku. Bouteville uniknął tej przykrej konieczności bicia się z najlepszym przyjacielem tylko tym sposobem, że bez zwłoki wszczął spór z markizem de Portes i wyzwawszy go, Valençay'a jako swego sekundanta podał. Wreszcie kardynał Richelieu, ówczesny minister, ażeby tym krwawym scenom koniec położyć, — ściąć rozkazał Bouteville'a i drugiego podobnego mu zabijakę, hr. de Chapelles. O tem postanowieniu tak pisze Richelieu w politycznym swoim testamencie: „Wyznaję, że nigdy nie byłem w cięższem położeniu, jak wtedy. Zaledwom znalazł siłę do oparcia się powszechnemu współczuciu, które ci dwaj szlachcice odwagą swoją pozyskali. Łzy małżonek ich przejęły mnie do głębi; ale lejące się potoki krwi francuskiej szlachty, które tylko jedynie przez usunięcie tych rębaczy zatamować było można, dały mi siłę do oparcia się własnej słabości i do skłonienia króla, iżby dla dobra państwa potwierdził wyrok przeciwny uczuciom wszystkich a nawet moim własnym.“

— Zewnętrzne oznaki żałoby były u wszystkich narodów i we wszystkich czasach w użyciu, ale nie wszędzie i nie zawsze jednakie. Egipcjanie wkładali na znak żałoby strój żółty a Etjopowie szary. W Rzymie i w Sparcie kobiety w tym razie ubierały się biało a mężczyźni czarno. W Chinach i Sjamie do dzisiaj jeszcze kolor biały jest żałobnym. W Turcji jest nim kolor błękitny, nawet fjoletowy, tak jak w całej Europie i większej części Ameryki czarny. Ta różnica w kolorach nie jest prostym wypływem kaprysu. Każdy lud, każde stulecie łączy pewną właściwą myśl z farbą, którą sobie na świadectwo żalu wybrało. Jedni upatrują w barwie żółtej, barwie opadających liści, symbol zwiędnienia ciała; drudzy w błękitnym obrazowe pojęcie niebieskich przestworów, kędy dusze sprawiedliwych się znajdują. Szara barwa ma przypominać proch, z którego człek powstał i w który się musi obrócić. Fjolet, barwa przejściowa pomiędzy błękitną a czarną, oznacza u innych żal i nadzieję. Biały kolor u Chińczyków, mających przekonanie że dusze zmarłych w duchy opiekuńcze żywych się zamieniają, jest oznaką czystości i nieśmiertelności. Tymczasem u niewiast greckich i rzymskich barwa biała była oznaką rozpaczy, a u mężczyzn czarna wejście w noc wiekuistą przypominać miała. Południowcy obcinają sobie nadto włosy na znak żałoby. Zwyczaj ten miał miejsce u Greków. Pierwszym czynem dziecięcej miłości Oresta, po powrocie jego do Argos, było obciąć sobie włosy na grobie Agamemnona. Przeciwnie Rzymianie w czasie żałoby nie obcinali włosów ani golili zarostu. Różnica tych obyczajów dowodzi, że każdy naród głęboki swój żal przez wbrew przeciwne przywyknieniu swemu postępowanie okazać się starał. Grecy bowiem nosili zwykle długie włosy i brody — a Rzymianie nosili włos krótki a brodę po większej części zupełnie golili. U Izraelitów oznaki żałoby o wiele jeszcze były jaskrawsze. Skoro im umarł kto z krewnych, to nie tylko rwali sobie włosy z głowy, ale rozbijali sobie twarz, rozdzierali szaty od góry do dołu, a włożywszy najpospolitszą odzież, głowę posypywali popiołem. Jeżeli musieli prawnie przepisane przy tem suszenie przerwać, to jedli na ziemi, na której także spali. Przez cały czas żałoby chodzili boso, unikali ognia, zaniedbywali brodę i włosy, nie myli się i zapuszczali paznokcie. Zwyczajny czas żałoby wynosił siedm dni. U Rzymian trwał on dziesięć miesięcy. W tym czasie wdowie nie było wolno wejść w powtórne związki, pod grozą ogólnej pogardy. Po mniej niż trzyletniem dziecięciu nie noszono żałoby; od tego zaś wieku aż do lat dziesięciu należało nosić żałobę przez tyle miesięcy, ile dziecię miało lat, umierając. Częstokroć dekret senatu skracał czas żałoby—jak to miało naprzykład miejsce po bitwie pod Kannami, gdy rzeczpospolita chcąc jak najprędzej nawet wspomnienie klęski swojej zatrzeć, oznaczyła żałobę tylko na dni trzydzieści. U ludów nowoczesnych trwa żałoba dłużej jeszcze niż u Rzymian. We Francji żona nosi ją po mężu przez trzynaście miesięcy, a mąż po żonie sześć. W Niemczech rok cały, a u nas, jak wiadomo, rok i sześć tygodni.

— Największy fantasta pomiędzy romantykami, genjalny twórca „Eliksyru djabelskiego“ „Człowieka z piasku“ i tylu innych osobliwych powieści, C. T. A. Hoffmann, miał przepysznego czarnego kota, którego tak kochał jak Karol Dickens swego kruka, chociaż kot nie umiał krzyczeć, jak owe ptaszysko angielskiego powieściopisarza: „Jestem djabeł!“ W listopadzie 1821 r. zdechł ów faworyt Hoffmana, a opłakujący go poeta napisał pod datą 30 tegoż miesiąca następujący list do swego przyjaciela i poźniejszego bjografa, radcy kryminalnego Hitziga: „W nocy z 29 na 30 listopada zasnął po krótkich ale ciężkich cierpieniach ukochany mój wychowaniec, kocur Murr, w czwartym roku swego pełnego nadziei żywota, o czem współczującym opiekunom i przyjaciołom jego niniejszem z żałością donoszę. Kto znał zmarłego młodziana, uzna głęboką boleść moją za słuszną, i uczci ją milczeniem.— Hoffmann.“ W wieczór tegoż samego dnia napotkał Hitzig swego ekscentrycznego przyjaciela w winiarni Luttra i Weggenera w Berlinie. Hoffman miał minę wielce przygnębioną i smutną. Pociągnął przyjaciela do pobocznego pokoju i oświadczył mu, że śmierć biednego kota przejęła go okropniej, aniżeli kiedykolwiek inne jakie przebyte nieszczęście. Następnie zaś z cudownym, właściwym sobie tylko darem przedstawienia rzeczy demonicznych i straszliwych, rozwinął przed przyjacielem tak okropny obraz agonji Murra, że Hitzigowi, jakkolwiek w charakterze radcy kryminalnego spoufalonemu z wszelkiemi możliwemi okropnościami, — włosy stanęły na głowie dębem! Wkrótce potem ukochanemu swemu zwierzęciu postawił Hoffman literacki pomnik w księdze pt. „Kater Murr“ a w pół roku zaledwie po tem, 25 lipca 1822 i sam umarł.

— W samym środku 14 wieku, zamierzyli Augustyni w Windsheim w prowincji Oberyssel zbudować sobie wiatrak, ale przeszkadzał im w tem właściciel sąsiednich dóbr, twierdząc, że wiatr w tych stronach do niego należy. Wtedy zwrócili się mnichy do biskupa utrechtskiego pod którego władz zostawała cała ta prowincja, już od 10 wieku, i biskup wydał wyrok, w którym oświadczył, iż do niego tylko jednego wiatr w całej prowincji należy, że więc na mocy tego prawa pozwala Augustynom wybudować sobie wiatrak, gdzie zechcą i na potrzebną ilość wiatru, wieczysty przywilej im udziela.

— Gra w kostki znaną już była podczas oblężenia Troji. Kubek nazywał się u Greków Arca, a kostka Talus lub Tessera. Wygrana przypadała temu z graczy, który jak największą ilość ok wyrzucił, a grano tylko trzema kostkami. Najszczęśliwszy rzut: trzy szóstki — nazywał się Venus. W rzymskiem wojsku tak namiętnie rozpowszechniła się gra w kości, że senat rzymski ujrzał się zmuszonym, dozwolić jej tylko podczas Saturnaliów (świąt na pamiątkę złotego wleku) a zresztą stanowczo zakazać. Wedle Tacyta o wiele jeszcze namiętniejszymi graczami byli starożytni Germanie. W dziejach nowych spotykamy starego Blüchera, który nawet w wieczór przed bitwą pod Ligny na bębnie grał w kości i tak dużo przepuścił pieniędzy, iż rzuciwszy kubkiem o ziemię, zawołał: „Niech djabli porwą kości i Francuzów.“ Djabli wysłuchali wezwania!

— Dziennik „Economiste Français“ mieści w ostatnich swoich numerach obszerne studjum o Turcji, jej politycznem i materjalnem położeniu. Autor, p. Eschbach, doszedłszy do przedstawienia potęgi Sułtana, odziera go w dosyć ciekawy sposób z nadziemskiego nimbusu, jakim go poddani jego otaczają. „Abdul Azis, powiada p. Eschbach, nie mówi żadnym obcym językiem, ale pisze po turecku kaligraficznie, co na wschodzie wiele znaczy. Pałac jego dzieli się na dwie surowo rozgraniczone części: na harem zamieszkany przez kobiety i Salamlik przeznaczony dla męzkiego personalu i na przyjęcie gości. Sułtan opuszcza zwyczajnie harem dopiero pomiędzy dziewiątą a dziesiątą godziną rano — a powraca do niego w tychże samych godzinach w wieczór. Dworzanom, którzy nań od świtu oczekują, pokazuje się w następującym, niewymuszonym stroju: na głowie biała czapeczka, bose nogie w wygodnych pantoflach, za okrycie tak zwany Gedscholik, tj. rodzaj obszernego, jaskrawej barwy w wielkie kwiaty szlafroka. Pierwszy sekretarz odbiera rozkazy tyczące się spraw państwa, a Wielki Wezyr oddaje je do wykonania, specjalnie ku temu urządzonej kancelarji. Wkrótce następuje śniadanie, zawsze bardzo obfite, bo sułtan cieszy się wybornym apetytem. Abdul Azis sam je, pozwala jednak obecnym dworzanom zabawiać się podczas tego opowiadaniem swobodnych, pikantnych anegdotek miejskich, szczególniej o ministrach i niemiłych mu osobistościach. Następnie, jeśli musi wyjść lub przyjąć kogo, wkłada urzędowy kostjum, jak może jednak najprędzej do domowego powraca. W młodości był Abdul-Azis nieustraszonym jeźdzcem, zwolennikiem łowów i rybołowstwa; obecnie oddawna już dał pokój wszelkim ćwiczeniom ciała. Na koń siada chyba w piątek jadąc d. Moszei na modlitwę. Dla rozrywki sułtan każe sobie urządzać bójki atletów, byków, lub kogutów, albo też raczy z jednym z dworzan zagrać w tryktraka, lub w warcaby. Obecnie zajmuje się malarstwem; raz mu się zachciewa krajobrazów, drugi raz malowideł rodzajowych, to znowu scen wojennych. Pomiędzy temi ostatniemi podobają mu się najwięcej przedstawiające pogromienie Austrjaków przez Turków; tylko wtedy jednakże je kupuje, jeżeli bardzo wielu Austrjaków rannych lub poległych leży na ziemi, a ani jeden Turek. Dawniej, gdy był w dobrym humorze, miał zwyczaj pasować się ze swymi dworzanami, i Newres Pasza tej skłonności zawdzięcza swoje szczęście. Był to człowiek pod szorstkim pozorem ukrywający najwyższą dworacką subtelność. Wielekroć wypędzany zawsze umiał się wkraść w łaski sułtana na nowo. Nikt od niego lepiej nie potrafił przyjąć kułaka z uśmiechem pełnym wdzięczności. W takich razach tracił nieraz równowagę, ale nigdy głowę. Pocieszne pozycje, jakie przybierał wtedy, bawiły niezmiernie sułtana, a dworakowi przynosiły coś zawsze: klejnot, pieniądze, lub nową godność. Był z kolei ministrem handlu, skarbu i oświaty. Pewnego dnia sułtan, w nader wesołym humorze, zrzucił go ze wschodów; faworyt odniósł ztąd w zysku ciężkie uszkodzenie i pyszny pałac. Przy walkach kogutów każdy z zapaśników grzebieniastych nosi imię jakiegoś władzcy. Przed ostatnią wojną naprzykład figurował Napoleon III na podwórzu sułtańskiem; po Sedanie usunięto go. Jeden z kogutów nosi nawet nazwisko samego Sułtana, jest to najdzielniejszy zapaśnik z pomiędzy wszystkich. Powiadają, że istnieje nawet oddzielny order dla zwycięskich kogutów — ale musi to być plotka!

Treść Nr. 48.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).